Świat Kobiecy

N-R 18 15 WRZEŚNIA 1931 R. ROK XI



CENA ZŁ. 2·25

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA N-R 18 — ROK XI WARSZAWA — LWÓW 15 WRZEŚNIA 1931 ROKU

ODRODZENIE PRZEZ KOBIETĘ

Coraz nieznośniejszym i coraz bardziej niepokojącym staje się lament a z nim opuszczania i załamywania rąk, jak to się słyszy i widzi codzień wśród dzisiejszej kryzysowej inteligencji. Zapewne, są wypadki, w których się temu zbytnio dziwić nie można, tam gdzie kogoś powaliły na obie łopatki choroba lub zupełna katastrofa ekonomiczna, ale pasja bierze człowieka, kiedy się słyszy postękujących żałośliwie jegomościów i damy, zdrowych jak muchomory i wiążących, mimo wszystko, gospodarski koniec z początkiem a zmuszonych tylko do większej czy mniejszej rezygnacji z dotychczasowej stopy życiowej. Na wielorakich polach i półkach współczesnego intelektualnego życia Europy stwierdzamy niewątpliwą przewagę wszelakiego pojękiwania, defetyzmu, kiszmetyki, manetekelfarsy.

Otóż, opierając się na cyfrach, które każdy może zebrać w zasięgu bliższych i dalszych znajomych, dojdziemy na pewno do przeświadczenia, że w tym tak już pysznie napamięć umianym współczesnym kryzysie światowym więcej jest rozmaitej rasy postękajłów, jęczycieli i beksów między mężczyznami aniżeli wśród kobiet.

Pesymizm życiowy jest — poza wypadkami szczegółowemi — nietylko wynikiem neurastenji i słabości fizycznej, ale także przerafinowania umysłowego, przewagi refleksji nad instynktem, przeżywania się, powolnego starzenia, powolnego zatracania naiwnej, beztroskiej, irracjonalnej pędnej siły witalnej. Dlaczego 20-letni młodzieniec jest lepszym taternikiem, niż 40-letni mężczyzna? Siły fizyczne obydwu jednakie, wytrzymałość sportowa u drugiego lepsza, doświadczenie także, a jednak pierwszy, to jest młodszy, prędzej i łatwiej pokona niebezpieczną spinaczkę górską. Bo doświadczenie, refleksja, namysł nie nadwątliły jeszcze u niego, nie nadgryzły onej cudownej beztroski, która nie pozwala zawahać się nodze na myśl o możliwości upadku i śmierci.

Ta beztroska naiwna, młoda, w i e r z ą c a, w cel tylko ostateczny wpatrzona, jest źródłem wszelakiej twórczości, pracy, każdego rzeźkiego postępu. Jest równaniem życiowego optymizmu, t. j. onego spokojnego, radosnego parcia naprzód poprzez trudność i niebezpieczeństwo, z irracjonalną wiarą w ostateczne zwycięstwo.

We współczesnem społeczeństwie kobiecem zdaje się być, powtarzam, więcej takiego właśnie życiowego optymizmu. Kobieta jest w swej masie rozwojowo młodsza w porównaniu z masą męską, n i e w y ż y ł a s i ę j e s z c z e w s z e c h s t r o n n i e, czyli ma w sobie dzisiaj więcej potencjalnej, motorycznej siły pracy. Wskutek narzuconego jej przez mężczyznę, — częściowo tylko przez naturę — podziału pracy nie miała jeszcze czasu na wykształcenie w sobie równoważnika refleksji, która, jak powiedziałem wyżej, jest — au bout du compte — momentem hamującym, powstrzymującym życie. Jest dzisiaj w położeniu człowieka w jego pierwszej, bujnej młodości, z j e g o s i ł ą z d o b y w c z ą, pełnym rozmachu imperjalizmem życiowym, wiarą w siebie, wiarą naiwną, beztroską, niewymędrkowaną.

I z jego większą, prostą uczciwością.

Z brawurą więc, uczciwą bezpośredniością i cudownym entuzjazmem wbiega dzisiaj kobieta w rozmaite dziedziny życia. Już prawie żadna, z wyjątkiem filozofji i techniki, nie jest od niej wolna. Najgłośniej od niej na polu sportu, śmiałego pokonywania nadoceanicznych przestworzy, czem przeczy swojej rzekomej słabości wynikającej dotąd jedynie z pewnych określonych form wychowania. Zapał, z jakim kobieta rzuciła się w sport, jest bardzo charakterystyczny. Sport jest najlepszym wyrazem radości, afirmacji życia, wykładnikiem energji młodej, fundamentem wiary w siebie i drugich. Człowiek wszechstronnie zdrów i fizycznie krzepki zegnie się czasem pod zbyt ciężkim kułakiem losu, zaklnie siarczyście, często niesprawiedliwie, zęby nawet Bogu pokaże, ale ostatecznie poderwie się do dalszego wysiłku, z większą jeszcze ochotą niż wprzódy, bo z prawiecznego instynktu pragnie mocowania się ze światem, i w tem braniu się za bary z losem znajduje najwyższą radość istnienia.

Rywalizacja mężczyzny z kobietą na polu sportowem musi doprowadzić do ogólnego podniesienia i rozpowszechnienia sportu, a tem samem do wzmocnienia powszechnego optymizmu, bez którego Europa zestarzeje się i zdziadzieje na pewno.

Odrodzicielską staje się również rola kobiety w sztuce. Dotychczasowa sztuka kobieca — sądzona znów po-

dług olbrzymiej większości zjawisk — nie mogła być wyrazem pełnego człowieczeństwa z przyczyny niepełnego życia umysłowego, fizycznego i gospodarczego kobiety.

Była jużto przejawem owej t. zw. „kobiecości", którą wmawiano w kochankę, matkę i żonę gwoli wygody i przyjemności drugiej płci, jużto buntem, jużto naśladownictwem à la garçonne.

Z chwilą osiągnięcia przez kobietę warunków pozwalających jej na pełnię wszechstronnego życia, sztuka kobieca zyskuje na mocy, prawdzie i formie wyrazu. Równocześnie przesiąka ową młodą siłą pędną, radością niezblazowanych sił, cudem beztroskiej, naiwnej twórczości. Są to przecież najbardziej czarujące i istotne elementy poezji, które sprawiają, że młodzieńcze utwory największych artystów biją częstokroć — mimo swej niedoskonałości formalnej i myślowej — rzeczy późniejsze, doskonalsze, ale już mniej erupcyjne, mniej twórcze w dionizyjskiem znaczeniu słowa. Jeżeli wielkie reformacje, czy to religijne, czy filozoficzne, czy artystyczne usiłowały zawsze nawracać do pierwotnych źródeł wiary, filozofji i sztuki po czasach błąkania się po oddrożach, zboczeniach, to i współczesny kryzys artystyczny usunie się przez powrót do owych najgłębszych źródeł twórczości, jakiemi są naiwna afirmacja życia, optymistyczna wiara w ostateczne dobro, beztroska radość pracowania, a jakie właśnie spostrzegamy w rodzącej się przyszłej wielkiej sztuce kobiecej.

Aby odrodzić sztukę, trzeba ją także uczynić bardziej uczciwą. Współczesna sztuka z jej hegemonją mężczyzny zapada się częstokroć aż po szyję w merkantylnym profesjonalizmie, obrzydliwej autoreklamie, czerwonoskórem wyjadaniu się wzajemnem. Kobieta ma jeszcze duży zapas niezużytej prostej uczciwości młodzieńczej, tej uczciwości, której niejednokrotnie, ku chwale swojej, daje dowody w życiu publicznem na odpowiedzialnych placówkach, niechże tą uczciwością wypleni w sztuce chwast wszelakiego paskudztwa. Niechże kobieta - rodzicielka urodzi nową lepszą a radosną społeczność!

KAZIMIERZ BROŃCZYK

JADWIGA PETRAŻYCKA TOMICKA

DYSTANS, jaki odmierza śmierć, między tym, który odszedł a otoczeniem, rzuca osobliwy refleks na duchowe oblicze zmarłego. I niejeden rys, nawet zasadniczy, ale gubiący się i niezauważony w rozgwarze życia, dobywa się wówczas na światło, zmieniając zdumiewająco wizerunek, tak — zdawało się — znany. Ta smutna, bo zapóźna korektywa śmierci, wraża się często jak głuchy wyrzut w pamięć tych, którzy zostali. Wyrzut z powodu ich niedopatrzeń i lekkomyślnie wyrządzonej krzywdy.

W takich wypadkach wspomnienie pośmiertne musi być komentarzem. Musi wypełniać luki, prostować błędy osądów. Musi być rekostrukcją charakteru tego, nazawsze już nieobecnego, rekonstrukcją w sensie jego racji wewnętrznej. Rekompensatą.

To, co chcę tu napisać o Jadwidze Tomickiej, ma właśnie nosić cechę takiego komentarza. Bo to, co pragnę powiedzieć, nie będzie miało nic wspólnego z lukrowanym patosem pogrzebowego mówcy i nie będzie się rządziło zasadą: *de mortuis nisi bene* — niepotrzebną tu zresztą, a graniczącą zbyt często z faryzejstwem.

Piszę to wszystko dlatego, że Jadwiga Tomicka nie była człowiekiem łatwym, że nic nie było od niej dalsze, niż droga najmniejszego oporu. Zato znała dobrze tę drugą, drogę najtrudniejszą, którą szła sama i na której pragnęła widzieć innych, z pośpiechem i tchórzostwem wymijających przykrą ścieżkę. Na tej ścieżce bardzo trudno jest o popularność.

„Lubi się miękkich, łatwych, pogodnych, zgodnych i skłonnych do kompromisu — pisała w jednej ze swych powieści niedawno zmarła w kwiecie wieku i u wrót niezwyklej twórczości Zofja Żurakowska. — Lubi się łagodnie obojętnych i pobłażliwych na zło i dobro".

Jadwiga Tomicka nie była ani obojętna ani pobłażliwa. Przeciwnie — miała jakiś fanatyzm etyczny, enuncjujący się bez ogródek. To nadawało jej pozory surowości. Bo w istocie była życzliwa dla ludzi, zła tylko nienawidziła do dna duszy. Miała też pod tym względem poglądy bardzo indywidualne, dosyć dla ogółu niezrozumiałe. I wskutek tego w kołach zachowawczych uchodziła za czerwoną socjalistkę, u socjalistów za konserwatystkę i klerykałkę. Nie była ani jednem ani drugiem. Wyznawała — o ile można to tak nazwać — najbardziej idealistyczny pozytywizm. Z Królestwa rodem, owiana prądem warszawskiego postępu, w żywym kontakcie duchowym z bratem, niedawno zmarłym prof. Leonem Petrażyckim, przy bardzo wybitnym talencie polemicznym, w imię sprawiedliwości społecznej uznawała i propagowała bardzo daleko idący feminizm na wszystkich polach, z wyjątkiem obyczajowości. To tłómaczy groteskową niezgodność opinij o niej.

Ten wiecznie bojujący feminizm, nieznany już dzisiejszym kobietom, był naczelnym imperatywem w działalności całego jej życia. Z jego nakazu wywodzą się dwie jej książki: „Z dziejów kobiety polskiej" i „Kobieta w piśmiennictwie polskiem (po rok 1863)" — oraz przekład pracy prof. Petrażyckiego „O prawa dla kobiet". Z jego nakazu kandydowała w czasie wyborów w roku 1923 na kobiecej liście do senatu. Z jego też w wielkiej mierze nakazu była inicjatorką, założycielką i prezesem czynnym komitetu budowy pomnika Konopnickiej. Ten też przeważnie charakter nosiły pisma jej o poetce: „Konopnicka w świetle własnych utworów" i „Mistycyzm Konopnickiej". U Konopnickiej ceniła nadewszystko założenia bojowe, gest polemiczny, gorące wyzwanie rzucone „wszystkim krzywdom ziemi". Kładła wielki nacisk na tę humanitarną i obywatelską stronę pisarstwa autorki „Pana Balcera". Uważała, że należy upomnieć się o utrwalenie hołdu kobiecie, którą stać było na doniosły i śmiały rozmach — i myśli tej poświęciła wiele trudów i zabiegów, bardzo wiele zapału.

Nie należy jednak snuć stąd wniosku, że strona artystyczna dzieł sztuki była dla niej obojętna. Tomicka miała wielką wrażliwość estetyczną, zwłaszcza w zakresie malarstwa i poezji, o czem świadczą „Szkice skandynawskie“, „W życiu i w literaturze“, „Rozmyślania o sztuce“, „Biblja na Wawelu“, „Muzeum etnograficzne na Wawelu“, „Słowo i obraz“, „O żywych kamieniach“. W książki te włożyła sporo erudycji, sumienności i entuzjazmu. Jednakże kryterjum etyczne wyprzedzało u niej zawsze sprawdzian estetyczny — i dlatego artysta, stawiający postulat sztuki bezwzględnie na pierwszem miejscu, znalazłby z pewnością w jej pismach dosyć punktów spornych. Krytyk literacki niezawsze zgodziłby się z jej koncepcją artyzmu Konopnickiej. Usunąwszy zapory w postaci postulatów etycznych, konstruowałby sobie może śmielej i strzeliściej. — Ale Tomicka, pisząc tak, jak pisała, i ten klawisz naciskając najsilniej, była ze sobą w zgodzie i zawsze w linji wobec swych założeń.

A skoro już mowa o tej kongruencji życia jej i pisarstwa, trzeba tu przytoczyć pierwsze słowa studjum jej „O żywych kamieniach“, poświęconego książce Berenta i „Notre - Dame de Paris“ Wiktora Hugo:

„Strasznem i bolesnem jest przeżywanie wielkich przewrotów dziejowych — rozsypuje się to, co się mocnem zdawało, idzie ludzkie szczęście w perzynę.

Życie młode staje się cieniem, ułudą, naturalnem się staje, że kwiat ludzkości ginie. Czyjeś serce zgasło, czyjeś szczęście zczezło, ktoś padł na drodze życia, a ludzie mówią „to los!“ — „tak sądzono!“

Życie się przez to nie zatrzymuje, słońce wschodzi i zachodzi o zwykłej porze.

Nie świeci ono jednak jasno dla rozbitków życiowych i liczne są zastępy tych, co po bezbrzeżnie bolesnych stratach, ani umrzeć nie mogą, ani żyć nie mogą. Indywidualnem swojem życiem — żyć nie mogą, bo zatracili wątek, zatracili treść i logikę życia.

Dla tych ludzi oderwanie się od dnia dzisiejszego, od krótkiego okresu czasu, który się życiem jednego pokolenia mierzy, jest wypoczynkiem, jest potrzebą umęczonej duszy.

Sub specie aeternitatis rozważane dzieje ludzkości — każą duszy skrzydła położyć po sobie i w pokorze los swój znosić. Bo czemże jest ból życia jednego człowieka wobec bólu wszechludzkiego?

Sub specie aeternitatis rozważane dzieje nabierają powagi, układają się w logiczne okresy, wznoszą się do majestatu rzeczy wielkich a tajemniczych w pierwszych przyczynach i ostatecznych celach“.

Słowa te dowodzą gorącej wiary w racjonalność istnienia, co było naczelną cechą poglądu Tomickiej na świat. Bo w przytoczonych słowach pisała o sobie. Ona to właśnie była jedną z tych, co ani umrzeć, ani żyć nie mogą. Tak los zdarzył. Wojna w szczególnie tragiczny, można powiedzieć tragicznie-urągliwy sposób wydarła jej jedynego syna. O nim to właśnie, o jego młodem życiu pisała. I o własnem życiu, które straciło treść swą i logikę. A jednak wierzyła w logiczny układ wszechświata. Może dzięki tej wierze, mającej jak każda wiara swą mistykę, mogła Zmarła po śmierci syna i męża, nie opuścić jednak rąk, nie odejść od pracy społecznej. Była też z rodu „siłaczek“, jak to pisała w jubileuszowej publikacji o Helenie Witkowskiej, z którą łączyła ją głęboka przyjaźń.



JADWIGA TOMICKA

Jej praca społeczna, bogata i wielostronna, była dla jej życia czemś istotnem, tak niezbędnem jak powietrze. Wkładała w nią zapał twórczy, wiecznie młody entuzjazm. Podpisana, która miała zaszczyt pracowania obok niej w Zawodowym Związku Literatów Polskich, którego ś. p. Jadwiga Tomicka była pierwszą, długoletnią, pełną inicjatywy i wielce zasłużoną skarbniczką, kładąc podwaliny pod materjalny byt Związku, — pragnie tu wyrazić podziw dla tej niezwykle oddanej pracy, o jaką dziś, w naszej merkantylistycznej epoce coraz już trudniej.

Tak, jak trudna do pojęcia jest żywotność ducha i bogactwo zainteresowań tej kobiety osamotnionej, „wykiwanej przez życie“ — jak sama mówiła — którą od apatji ratowała niewzruszona wiara w Polskę i wiara w człowieka.

Miała swój własny odrębny mistycyzm od oficjalnych mistycyzmów i okkultyzmów, których nie uznawała, różny.

Miała prawdziwą, wielką m i ł o ś ć c z ł o w i e k a i z niej płynący optymizm.

I na myśl o tem, że znowu odeszła jedna z tych, którzy mieli tak wielki żar miłości i siłę ducha, robi się coraz puściej na świecie...

IDA WIENIEWSKA

RZEŹBIARKA SIŁY I ZWYCIĘSTWA

NIE BYŁAM wprawdzie na otwarciu zbiorowej wystawy Hanny Nałkowskiej-Bickowej w „Zachęcie" warszawskiej (wrzesień, 1931) — ale wszystkie te rzeczy widziałam u niej w pracowni wielekroć razy i dlatego (tak myślę) mogę o nich pisać.

Poprostu rosły one w moich oczach, brały się niewiadomo skąd; skądś przybywały i na każdej następnej czarnej kawie, w pracowni pod niebem — sprawiały niespodziankę, bo za każdym razem były głębsze i szersze. Można powiedzieć, że rosły sobie zwycięsko w swoich powijakach z mokrych szmat i gdy się je rozwijało, zapewne i one same dziwiły się temu, że aż tyle i w taki sposób urosły.

To było ciągle na nowo dla nas obu radosne.



HANNA NAŁKOWSKA-BICKOWA

Ale nie wszystkie rzeźby Nałkowskiej znam ...od powijaków. Wprawdzie mogę śmiało powiedzieć, że najpiękniejszego generała w Polsce Orlicz-Dreszera — ja pacyfistka! — w tej pracowni tajemniczej poprostu wyniańczyłam, bo przez parę tygodni podczas niezapomnianej, ostrej zimy — był mi oddany w opiekę. Generał Dreszer — życiem bronzowem — jeszcze wtedy nie żył — był sobie zwyczajnym biustem w glinie i trzeba było wiele starań dołożyć aby oparł się tym piekielnym mrozom i poprostu nie popękał.

Rozwijałyśmy więc z matką rzeźbiarki pięknego generała z szmat a w oczach naszych można było czytać wyraźny niepokój:

— Pękł, czy nie pękł?

Myślę, że jeszcze kiedyś zostaniemy za to z Jego strony czemś pięknem i specjalnem wynagrodzone — bo że tak dumnie stoi sobie dzisiaj w Zachęcie — i patrzy oczami z bronzu — jest w tem i nasza zasługa.

Nie pękł... Ale zato pękł sufit w zimie, o czwartej nad ranem i była obawa straszna, że zniszczy wszystkie rzeźby.

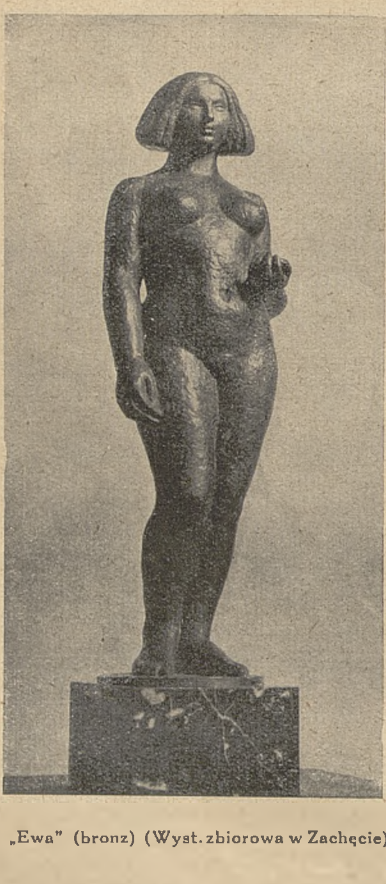
Ale wiadomą jest rzeczą, że specjalne bóstwa pilnują pracowni rzeźbiarek, więc cegły padały na lewo i na prawo od niżej podpisanej — nie uszkodziły jednak ani jej, ani rzeźb. Podpisana była tylko przez parę minut osobą siwą — a rzeźby stoją dzisiaj w Zachęcie i wzbudzają zachwyt publiczności i głębokie uznanie pracy.

Ale nie wszystkim rzeźbom asystowało się od powijaków. Niektóre przyjechały już zupełnie dorosłe wprost z Paryża, gdzie miały swoje zaszczytne miejsce w „Salonie" i swój chwalebny żywot. Więc nie można ich już było traktować tak — jak tamte rzeźby znajome od urodzenia; trzeba się było do nich odnosić z większym szacunkiem, zupełnie jak do dorosłych.

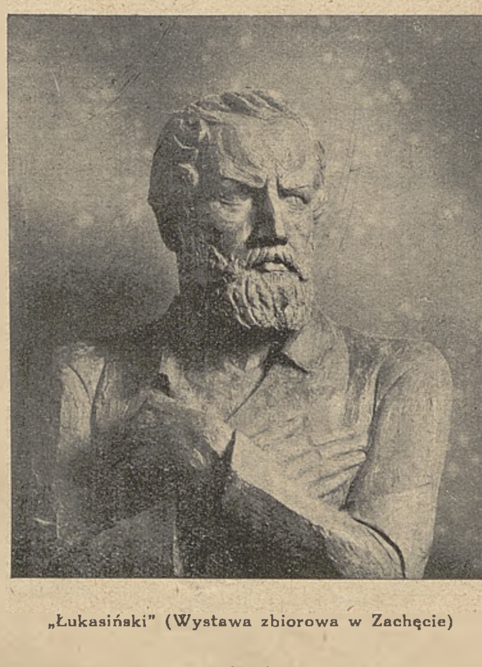
Te, które przyjechały sobie z Paryża, są inne od tamtych „dobrych znajomych". Są jakoby dzielniejsze, mężniejsze, mają pełną świadomość swojej siły i zwycięstwa. Mocno stoją na nogach i niczego się nie obawiają. — Dusza, która dała im życie, pogłębiła się i rozszerzyła. Dawne rzeźby Nałkowskiej miały powagę, pewną zadumę — dzisiejsze siłę i zwycięstwo. Są takie jakby się nie bały ani wiatru, ani fali, ani ognia. Mają może nie tę pierwszą siłę młodości: niecierpliwą i zachłanną, ale jest to siła, którą daje dojrzałość i świadomość zwycięstwa. Myślę, że właśnie taka jest różnica między jej dawnym „Rycerzem" a dzisiejszym „Siłaczem".

Hanna Nałkowska-Bickowa wrześniową wystawą w Zachęcie wysunęła się na czoło rzeźbiarek polskich. Można ją nazwać teraz rzeźbiarką siły i zwycięstwa.

KAZIMIERA ALBERTI



„Ewa" (bronz) (Wyst. zbiorowa w Zachęcie)



„Łukasiński" (Wystawa zbiorowa w Zachęcie)



„Siłacz" (bronz) (Wyst. zbiorowa w Zachęcie)

KAZIMIERA ALBERTI

FRAGMENT UFNOŚCI

Jeszcze w tej mojej głuchej puszczy
czysto po rosie zabrzmi twoje imię,
jeszcze o węgły domu się owinie —
ciemnym warkoczem bluszczyk;

Jeszcze mi tykwa pielgrzymia obrodzi,
z której naczynia — wody się napiję,
jeszcze wystrzeli różga na burzą zwalonej kłodzie,
jeszcze mi jarzębina strząśnie korale na szyję
i jeszcze pszczoły zamruczą w ogrodzie;

Jeszcze w winnicy pierwsze grono tryśnie
od wszystkich innych słodsze,
jeszcze jaskółka o szybę się otrze,
gęsto zakwitną wiśnie;

Jeszcze na dębie zsiekanym przez pożar —
z piór i gałązek ptaki stulą gniazda,
jeszcze na twardą krawędź mego łoża
zleci — sierpniową nocą — gwiazda;

Jeszcze mi kiedyś zakwitną nad ranem
trzewiczki Matki Boskiej,
jeszcze ja wśród dostatku kredy poświęcanej —
ucieszona winnicą i miodem i woskiem —
odpocznę!

O! jeszcze zamiast szarańczy żarłocznej —
motyle smagłe na mój ogród zlecą,
jeszcze mi świętojańskie robaczki zaświecą,
jeszcze się niebo przejrzy w mej kryniczce na dnie,
jeszcze mi serce w płomieniach stanie tak jak krwawnik.

OPIEKA POLSKA W PARYŻU

Helena S., matka dwojga nieletnich dzieci, wróciwszy z odwiedzin rodziny w Polsce do Paryża, zastaje męża w sytuacji nie podającej w wątpliwość jego niewierności małżeńskiej...

Niejaka Kulczykowska, wyrobnica około 50-letnia, uciuławszy w ciągu długich lat swej pracy 10 tysięcy franków, chce za namową „narzeczonego", 20-letniego „Tomcia", kupić restauracyjkę.

Marjanna Karczoch, lat 18, po skończonym kontrakcie na wsi, ma zaoszczędzonych 500 franków, oddaje na przechowanie, żeby nie zgubić, a narazie szuka pracy.

Tadzio Majewski, lat 3, oddany po śmierci matki do schroniska, jest wezwany przez babkę do Polski, gdzie dostanie grunt i krowę...

Jan Kopciuch wyjechał do Kanady, porzuciwszy żonę z synkiem. Teraz wrócił, żona mieszka z Murzynem, a dziecko — o czem on nie wie — zostało zaadoptowane przez bogatych Francuzów. Ojciec żąda zwrotu dziecka...

Te — i tysiąc innych drobniejszych i ważniejszych spraw — oto co załatwia „Opieka Polska" w Paryżu, ta prawdziwa opieka nad Polakami w obcym i nieznanym kraju, gdzie porozumieć się z wszystkimi trudno, niesposób paczki lub listu porządnie zaadresować, żeby z pewnością doszły na miejsce, gdzie niewiadomo jak załatwiać sprawy kontraktów, żeby nie oszukali, jak załatwić wszelkie formalności, od których aż mąci się w głowie: tu — w szpitalu żądają jakichś kartek różowych, tam — w pośrednictwie pracy znowu nalepek na karcie tożsamości, ówdzie znów kartki białe, — jakżeż je wypuścić z ręki? Zabiorą w urzędach — i co będzie potem? Niewiadomo gdzie dać je, a gdzie znowu się o nie upominać...

Wspomniałam właśnie dlatego na początku o sprawach, które nie figurują w żadnych sprawozdaniach, ani statystyki ich nie obejmują: sprawy przychodzą, trwają, rozważa się je, pomaga się ludziom — i znów nowe sprawy, znów inne... Zanim przejdę do wymowy dat, cyfr i wszelkich innych ścisłych danych, chcę właśnie powiedzieć o tych sprawach, które może najwięcej zbliżają emigrantów do „Opieki", które nauczyły ludzi zaufania do instytucji samej. Ci, którzy się tam przewijają, niebardzo się orjentują w tych wszystkich kwestjach prawnych, w tych skomplikowanych formalnościach wychodźczego życia. To też nigdy do nikogo nie odnoszą się z pełnem zaufaniem: zewsząd niewiara, myśl o wyzysku, oszustwie. — „Nic się na tych papierzyskach, proszę pani, wyrozumieć nie mogę" — mawiają często interesenci i słuchają rad „Opieki". Nie chodzi jednak wyłącznie o to, by rada była wysłuchana. Jest rzeczą ważniejszą wzbudzenie w emigrancie uczucia, że ktoś się nim naprawdę opiekuje, że ktoś czuwa także nad życiem prywatnem. Tysiącom osób „Opieka" zastępuje pod tym względem matkę, ojca i przyjaciół, a gdy raz wyjdą dobrze na usłuchaniu dobrej rady — lub źle na niezastosowaniu się do niej — autorytet opieki wzrasta niezmiernie.

Więc też energiczna kierowniczka „Opieki Polskiej" p. Gniewińska nietylko że kieruje całokształtem prac, ale w swoim gabinecie przyjmuje także petentów, którzy chcą się rozmówić „na osobności". Tutaj zdradzona Helena S. postanawia rozejść się z mężem — po nieudanych próbach pogodzenia się z nim i teraz pracuje naprawdę ciężko na utrzymanie siebie i dwojga dzieci; tutaj rozgrywa się epilog kupna restauracji — starawa narzeczona nie posłuchała rady, o którą przyszła prosić i po dwuch tygodniach jej „Tomcio" wyrzucił ją za drzwi lokalu, zapisanego na jego imię; tutaj osiemnastoletnia Marjanna, po dwutygodniowym pobycie w Paryżu, skruszona — bo jej „kuzyn", poznany zresztą przypadkiem na ulicy, wyłudził od niej całe 500 franków — ściera szminkę z warg, zdejmuje zawadjacki kapelusz i znów w chusteczce na głowie idzie do pracy... Tutaj załatwia się sprawy poufne, tu odgrywają się dramaty, płyną łzy niewczesne, zwierzenia...

Z początku, gdy założono „Opiekę" (ówczesna nazwa brzmiała: „Opieka nad robotnikiem polskim we Francji"), głównym jej celem była pomoc robotnikom, nie znającym języka i interwenjowanie w koniecznych wypadkach między pracodawcą a pracownikiem. — „Opieka", założona w r. 1912 przez hr. Zamoyską (córkę znanego emigracyjnego działacza, generała Wł. hr. Zamoyskiego), stała się bardzo szybko dzięki wielkim zaletom i stosunkom osobistym założycielki czemś w rodzaju nieoficjalnego konsulatu polskiego, a władze francuskie w nader krótkim czasie, jeśli nie de jure, to de facto uznały ten „Polski Urząd" wiedząc, że sprawy związane z emigrantem polskim będą tam załatwione prędzej i lepiej, niż w konsulatach trzech państw zaborczych. A gdy przyszła wojna, świadectwo z „Opieki" było paszportem, stwierdzającym obywatelstwo polskie — obywatelstwo nie istniejącego państwa.

Z obozów koncentracyjnych, w których internowano wszystkich poddanych niemieckich i austrjackich, zwolniono wówczas dwa tysiące Polaków, a to dzięki „Opiece" i jej przewodniczącej. Lecz hrabina Zamoyska interwenjowała nie sama u władz francuskich: towarzyszył jej bowiem cień zmarłego przed trzydziestu laty człowieka, gdyż łańcuch przyczyn ma czasami ciekawe a niespodziewane zahaczenia. I tak jeden z wyższych urzędników prefektury policji, od którego zależało zwolnienie tych internowanych, na wyjaśnienie, że chodzi tu o Polaków, w ciągu kilku chwil wydał rozkaz zwolnie-

nia. Czem był powodowany ten Francuz, jakim sentymentem, że słowo „Polak" było dlań czemś bliskiem i przyjaznem? Poprostu, w domu jego rodziców, w czasie jego dzieciństwa bywał emigrant polski, uczestnik powstania listopadowego St. Strzecki. Jakiemi słowami opowiadał sześcioletniemu chłopcu o dalekiej swej ojczyźnie, jakie obrazy roztaczał przed jego dziecinnemi oczami, że ten w trzydzieści lat po jego śmierci nie zatracił wspomnienia serdecznego i właśnie przez pamięć o nim, pomógł teraz Polakom?

Podczas wojny tempo pracy „Opieki" staje się powolniejsze, nie przybywają bowiem nowi emigranci, ci najniezaradniejsi, a tym, których wojna zastała we Francji, łatwo jest o pracę i o wysokie, wojenne zarobki. — Akcja „Opieki" odżywa znowu w 1919 r. wraz z przybyciem pierwszej fali powojennych emigrantów. W tym też czasie „Opieka nad robotnikiem polskim we Francji" zmienia nazwę na: „Opieka Polska". Jej władzami są: Komitet honorowy, składający się z przedstawicieli Polski i Francji, Rada z 12 członków i Zarząd z 4-ch. Przewodniczącą jest hr. Zamoyska, a honorową przewodniczącą p. Helena Paderewska. Jej też „Opieka Polska" zawdzięcza kilkakrotne duże zapomogi, oraz wyjednanie stałej pomocy w amerykańskim „Białym Krzyżu". Praca wykonywana wówczas przez „Opiekę" — to wsparcia gotówkowe, zaopatrzenie odzieżowe i prowiantowe, pośrednictwo pracy, oraz udzielanie różnych informacyj.

Właściwie dopiero teraz praca staje się zorganizowana, a budżet na rok 1920 oparty na przewidzianych, a nie przypadkowych jak dotąd wpływach. Najgłówniejsze pozycje to dotacje paryskiego konsulatu R. P., p. H. Paderewskiej i amerykańskiego „Białego Krzyża". — „Opieka Polska" czyni wszystko, by ułatwić stosunki materjalne wychodźców, a i także wszystko dla zaspokojenia potrzeb moralnych. Udziela więc za małą opłatą, albo i bezpłatnie noclegów w schronisku, ułatwia i pomaga w załatwieniu wszelkich formalności, specjalnie zajmuje się losem dzieci: urządza co roku kolonje letnie, opłaca pobyt na wsi, zajmuje się matkami w okresie ciąży, rozwiązania i w okresie należnego im potem odpoczynku; dba o przestrzeganie przepisów i przywilejów przewidzianych Konwencją polsko-francuską z 1920 roku; w 1922 roku sprowadziła 6 nauczycieli polskich do Metzu, od 1923 r. wystarała się o objazdy księży przed świętami po okręgach zamieszkałych w dużej mierze przez Polaków.

Naturalnie, nie wszystkie sprawy może załatwiać wyłącznie jedna instytucja. „Opieka Polska", jak to przewiduje wspomniana Konwencja, współpracuje stale z francuskiemi organizacjami społecznemi, stale przestrzega należnych Polakom praw na terenie Francji, jak: wsparcia dla licznych rodzin, bezpłatny pobyt w szpitalach i schroniskach podczas ostatnich tygodni ciąży, opieka nad nieślubną matką i t. d.

Także inne instytucje polskie, jak Zakład św. Kazimierza (schronisko dla starców i ochrona dla dzieci), Stowarzyszenie im. Klaudji Potockiej i wreszcie oddziały „Opieki" na prowincji — wszystko stale współpracuje z centralą, jaką stała się, siłą rzeczy, „Opieka", która ostatnio zajmuje się szczególnie losem emigrantki, mniej doświadczonej życiowo niż mężczyzna, łatwowierniejszej i łatwiej podlegającej asymilacji. Dla niej to właśnie została uruchomiona Misja Dworcowa na Gare du Nord, dla niej stworzono przy „Opiece" Ognisko-klub, który obok stałej opieki w życiu prywatnem, urządza pogadanki, lekcje języków polskiego i francuskiego, organizuje wycieczki, a również udziela swego lokalu na wieczorynki, zabawy z tańcami, czy towarzyskie podwieczorki.

Z braku miejsca nie mogę omówić bliżej każdego działu pracy, gdyż każdy z nich jest tak bogaty, tyle robi dla dobra emigrantek, że trzebaby właściwie każdemu z nich poświęcić osobny artykuł. Ograniczam się więc tylko do wyliczenia pozostałych działów: sekcja odwiedzania chorych w szpitalach i załatwiania im drobnych poleceń, misja więzienna, oraz najogólniejsza, najwięcej też pracy przysparzająca, sekcja pomocy macierzyńskiej.

O rozwoju „Opieki" od 1919 do choćby 1925 świadczy najlepiej tych kilka cyfr.

O pomoc do „Opieki" zgłosiło się w roku:

1919	1.894	osób
1920	3.513	„
1921	6.537	osób (a więc cyfry już się podwajają)
1922	7.685	„
1923	15.559	„
1924	22.686	„

wreszcie w r. 1925 tylko 23.456 osób, podczas gdy w roku bieżącym, w samym miesiącu maju, zgłosiło się ponad 900 osób. Pozornie jest to mniej niż w latach ubiegłych, lecz tylko pozornie, jeśli się zważy, że od dwóch lat sprawami mężczyzn zajmuje się głównie konsulat — pozostawiając sprawy kobiet „Opiece" — i że wobec panującego kryzysu liczba nowych imigrantek polskich jest niższa, niż w latach ubiegłych.

Ciekawe są jeszcze poszczególne sprawy, wyrażające się następującemi cyframi:

pomoc w repatrjacji 124 osobom
udzielono informacyj 154 „
uwolniono z obozów 140 jeńców
udzielono wsparć w 117 wypadkach
„ pomocy chorym w 118 wypadkach
„ „ internowanym w 154 wypadkach
dano pracę 639 osobom
„ „ 96 przybyszom z Polski
„ „ 117 przybyszom z Belgji
wypadki różne 224.

Specjalnie podaję tu cyfry z 1919 roku — z okresu wstępnego rozwoju instytucji, już wtedy tak bardzo wspomagającej naszych emigrantów.

Porównajmy teraz dane z 1919 roku ze statystyką za rok 1930, przyczem pamiętać należy, iż od dwóch lat „Opieka" wyspecjalizowała się głównie w sprawach pomocy kobietom i że statystyka poniższa dotyczy wyłącznie centrali paryskiej. Filje prowincjonalne pracują równie intensywnie, lecz nie posiadamy szczegółowych danych ilustrujących ich działalność. A więc, w roku ubiegłym:

udzielono informacyj	2.281	osobom
„ pracy	3.378	„
„ wsparć odzieżowych . .	243	„
„ noclegów bezpłatnych .	711	„
„ bezpłatnej pomocy lekar.	243	„
odwiedzono w szpitalach i klinikach położniczych	2.139	osób

uzyskano od „Assistance publique":

a) jednomiesięczną zapomogę dla niemowląt — w 74 wypadkach,

b) jednomiesięczny odpoczynek poporodowy na wsi, — w 76 wypadkach; ponadto uzyskano od władz francuskich stałe wsparcie dla 189 licznych rodzin, przysługujące im w myśl konwencji.

Misja Dworcowa pomogła emigrantom w 11.185 wypadkach; delegatki „Opieki" wyjechały poza Paryż 76 razy.

Cyfry te mówią same za siebie, a rzeczą najważniejszą jest to, że działalność „Opieki" rozszerza się na coraz to liczniejsze odcinki życia emigracyjnego. Stwierdzić należy, że, mimo ograniczonych środków i niewielkiego personelu, instytucja ta dobrze służy Polsce na obczyźnie.

ALICJA BRUN

TEATR „ATENEUM"

Ostatnio wspaniały aktor niemiecki Alex Moissi ogłosił secesję z teatru. Ten fakt, po wielu innych, sygnalizuje jakieś głębokie przesilenie wewnętrzne instytucji, której Szekspir przypisał rolę i znaczenie „zwierciadła natury i ducha swego wieku". Rozstanie się Moissi'ego z pracą na scenie ma wcześniejszą i dokładną analogję na gruncie polskim. Równo przed rokiem jeden z wybitniejszych aktorów starszego pokolenia — Stefan Jaracz porzucił Teatr Polski A. Szyfmana w Warszawie, w którym ostatnio czas długi pracował.

Motywy decyzji obu artystów są identyczne. Nie mogą wytrzymać w teatrze takim, jaki jest obecnej chwili. Duszą się w nim. Buntują się. I w ich postanowieniu odejścia jest deklaracja pesymizmu co do wartości teatru, gest samoobrony. Tylko Moissi, który jest zapewne bogaczem — rzuca scenę na rok, grozi rozstaniem się z nim nazawsze. I — wetuje sobie to inwektywą trochę hałaśliwą, trochę defetystyczną, nawet trochę metafizyczną, ale w sednie niepozbawioną prawdy. Jaracza, jako aktora polskiego nie stać na to pierwsze. To drugie jest mu nie potrzebne. Stanowi umysł prostszy i konkretniejszy: zabrał się do rzeczy prościej i konkretniej. Po latach bezmała trzydziestu karjery aktorskiej, podjął eksperyment teatru własnego. Zaprzeczonej wartości przeciwstawił wysiłek pozytywny. Eksperyment się udał i wysiłek okazał się niespodziewanie twórczy. Przez sezon przeszły teatr „Ateneum", pomyślany, jako scena popularna, odsunięty od centrum miasta był — pierwszym teatrem stolicy. Wśród trzech teatrów miejskich, dwu teatrów starego wygi teatralnego Szyfmana — scena Jaracza była benjaminkiem Warszawy. Ktoś znający dobrze jej psychologję, blizko zżyty z teatrem mówił mi, że to kobieco uherbione miasto ma kapryśność nieobliczalną, ulega psychozie mody, jak żadne inne. Pewne jest jednak, że gdyby uwzględnić i ten moment, pozostanie jeszcze sukces w tle już zbanalizowanego kryzysu teatru — zupełnie niebywały. Przyczyna tej wielkiej reszty powodzenia musi być wewnętrzna, nie zewnętrzna.

Gdy rozmawiałem z Jaraczem o jego teatrze, mówił o teatrze, który opuścił w sposób dość podobny, jak Moissi w artykule, ogłoszonym na łamach „Weltbühne". Jaracz zarzucił teatrowi współczesnemu zupełne zmerkantylizowanie. Teatr zatracił swoje zadanie kulturalno-społeczne. Swoje przeznaczenie wychowawcze. Zatarł piętno artystyczne. Wynika to niewątpliwie z przyczyn ogólnych, da się uzasadnić konjunkturą gospodarczą i kulturalną, ale jest spotęgowane przez egoizm, poszukiwanie drogi najmniejszego oporu, przez prymitywne wyrachowanie przedsiębiorców teatralnych. Nie omija to nawet teatrów subsydjowanych. I w nich w zasadzie panuje gospodarka finansowa, pozbawiona uczciwości, polityka artystyczna, pozbawiona ambicji twórczej. Dość wskazać ostatni sezon Teatru Narodowego w Warszawie, który z natury swojej i możliwości może i powinien być pierwszym teatrem w Polsce. Starczy na świadectwo planowości gospodarczej przytoczyć wiązankę faktów, które mimochodem zebrałem tylko na terenie Lwowa. Kilku autorów mówiło mi, że jeden z wybitnych teatrów komunalnych przyjął do grania ich utwory oryginalne i tłumaczenia, popłacił zaliczki (często dość znaczne), nawet rozpoczął próby i — na tem skończył. Dla aktora rasowego, świadomego siebie, ambitnego, dla aktora-pracownika nie aktora-wyrobnika stwarza to atmosferę duszną i zabijającą. Przedsiębiorca jest na zewnątrz aktora. Nie tylko dlatego, że ich interesy materjalne są z natury sprzeczne, ale dlatego, że nie rozumie jego tęsknot twórczych.

Jaracz porzuciwszy teatr Szyfmanowski uderzył właśnie w tę stronę: będąc aktorem — nieprzeciętnym i pozostając aktorem, stał się przedsiębiorcą. To odmieniło zasadniczo proporcję sił w jego teatrze. Stało się źródłem doskonałej harmonji, która stanowi konieczny warunek pracy scenicznej. Niezliczone są anegdoty na temat chimeryczności Jaracza, jako aktora, świeża jeszcze afera z przedstawieniem „Szwejka" (haniebnie strywializowanego przez „przerabiacza"), na którem się poprostu nie zjawił. Kiedy Jaracz obejmował teatr „Ateneum" ludzie bawili się na kredyt perspektywą, jakie niespodzianki będzie płatał Jaracz-aktor Jaraczowi-dyrektorowi. Przewidywania chybiły na całej linji. Świetny artysta znalazłszy atmosferę sprzyjającą, teren do pracy swobodny, poczuwszy odpowiedzialność ciążącą, zmienił się zupełnie: dla „Ateneum" zdobył sukces materjalny i moralny — sam stworzył kilka doskonałych kreacyj scenicznych.

Niebezpiecznie doświadczenie teatru Jaracza uogólniać. Mieliśmy już aktorów w roli — nieuczciwych przedsiębiorców i równie niezaszczytnej roli — niedołężnych dyrektorów. O powodzeniu przedsięwzięcia Jaracza rozstrzyga jego pasja artystyczna i jego solidarność koleżeńska z towarzyszami pracy. Poza tem formalnie jego teatr niewiele różni się od zasady prywatnych przedsiębiorstw teatralnych. Chyba tem, że jest spółką poniekąd jednostronną, w której ryzyko imprezy aktorzy ponoszą wspólnie z dyrektorem, nie mając prawnie zastrzeżonego udziału w ewentualnem, znacznem powodzeniu finansowem teatru. Niema tu nic z „kolektywu" aktorskiego, który wzbudził taką przesadną fobję w ostatnich czasach. Niema wogóle żadnego nowatorstwa ustrojowego. To stawia w pewnej niepewności, co do losów przyszłych „Ateneum" i to nie pozwala na generalizowanie jego świetnych osiągnięć. Przykład jego jednak jest pouczający z dwu względów: jak wygląda teatr nie kalkulowany wyłącznie handlowo, pozbawiony klasycznego przedsiębiorcy i jak niesłuszne jest szerzenie popłochu, ostatnio podjęte i przez Moissi'ego, że teatr się „kończy". Kończy się zły teatr, nieuczciwy i martwy. Ten, który jest wewnętrznie zdegenerowany i ten, który nie zdąża w pochodzie stającego się życia. Zasługą Jaracza jest, że zaprzeczył zmierzchowi teatru, ze wskazał drogę do reorganizacji teatru na zasadach kooperacji gospodarczej i artystycznej pracowników.

Dzięki swemu ustrojowi, jeszcze nie nowemu, ale zawierającemu nowe możliwości, wyrażającemi żywe tendencje, „Ateneum" było jednym z nielicznych teatrów, w którym nie zapalono wici wojennych w trwającej jeszcze batalji między aktorami, a dyrektorami. Dzięki temu jest też teatrem, który bez religjanckiego komedjanctwa „Reduty" osiąga znaczny poziom sharmonizowania wewnętrznego. Dzięki jednemu i drugiemu ten teatr przez nikogo niesubwencjonowany, teatr artystyczny, współczesny i szeroko popularny jest — ekonomicznie samowystarczalny. To jest dla naszej wyobraźni nękanej astronomicznemi cyframi deficytów teatralnych najbardziej rewelacyjne.

W swojej fizjognomji artystycznej stanowi „Ateneum" teatr eklektyczny. W sezonie ubiegłym wystawiono pięć sztuk (ta cyfra jest wskaźnikiem ich powodzenia; teatry handlowe i liche znają przypadki 50 premjer, co oczywiście przesądza ich wartość artystyczną): „Zemsta" Al. Fredry, „Ulica" El. Rice'a, „Dom otwarty" M. Bałuckiego, „Europa" J. Brauna i „Gołębie serce" J. Galsworthy'ego (3 polskie, 2 obce). W wyborze tych utworów przejawiają się trzy dążności: sztuka dawna w świeżem, współczesnem ujęciu — nowe, niewypróbowane talenty sceniczne — sztuka zagadnień dnia dzisiejszego. W formie scenicznej również przy zasadniczej tendencji realistycznej zaznacza się stanowisko eklektyczne: indywidualizowanie i dostosowywanie kształtu scenicznego do samego utworu.

„Ateneum" należy życzyć odwagi eksperymentu i powodzenia. W tym szczęśliwym teatrze jedno warunkuje się drugiem.

TYM. TERLECKI



„Zemsta" Al. Fredry. Rejent Milczek — Stefan Jaracz, Wacław — Janusz Dziewoński



„Ulica" E. Rice'a. Reżyserja St. Perzanowskiej. Dekoracje Lorentowiczówny

LISTY „DO ŚWIATA KOBIECEGO"

I

Z plaży w Mamaia (Rumunja)

WSTAĆ rano — wcześnie albo późno. Bez pośpiechu — jeść — ubrać się — albo i nie — i wyjść. Wyjść w pyjamie — bez pończoch — bez rękawiczek — bez itd. Przyjść lub przyjechać na brzeg — w piasku leżeć i wypoczywać. (Bis, bis.) Patrzeć na niebo — potem na morze — i znowu na niebo. Odniechcenia zauważyć ludzi sto — pięćset — tysiąc i nie spotkać znajomych. A gdyby — trafem — nieszczęsnym — wtedy — obrócić się na piasku „lewą" stroną do góry i udawać — że — to — nie — ja.

Potem zjeść — coś dobrego — coś lekkiego — i znowu leżeć — i grzać się i znowu wypoczywać — wypoczywać — wypoczywać. Potem napisać list — telegraficznie — dać dużo pauz — aby było więcej — i wysłać i westchnąć: „Och! jaką pracą jest życie" i położyć się na piasku i znowu bis i znowu detto i znowu to samo. Tylko morze jest coraz inne i coraz inne jest niebo. — Więc rano — więc w południe — więc wieczór i w nocy i na brzegu i z restauracji i z łodzi i z łóżka nawet — patrzeć — patrzeć — patrzeć. Bo morze jest coraz piękniejsze i coraz piękniejsze jest niebo.

II

FILM Z CONSTANTZY

Wszystko jest tutaj jak w kolorowym filmie, za kolorowe i nierzeczywiste. Jako tło jest wąski farbkowo-błękitny pasek morza, które nazywa się Czarne. Bliżej, srebrna smukła wieżyczka minaretu z uczepionym z lewej strony księżycem. Księżyc przesuwa się. Może jest prawdziwy. Na pierwszym planie są niziutkie, ubożutkie domki z zakratowanem okienkiem od ulicy, a ogrodem i życiem za płotem z kamieni. A obok stoją wielkie domy tak bardzo ozdobne jak kulisy pałaców z papier mâché. Czy mają trwać tylko przez jeden ranek i tylko jeden wieczór — przez czas próby i przez czas przedstawienia? Bo to co jest rano nie jest tak bardzo ważne. Główni aktorzy są na plaży — incognito — jako ciała z bronzu, ciała z miedzi. W Constantzy zostali statyści. Kelnerzy, dorożkarze, szoferzy i fryzjerzy, fryzjerzy do 10-tej potęgi. Kelnerzy mają fartuchy i kaftany białe jak zeszłoroczny śnieg i liczą bardzo szybko i bardzo źle. Dorożkarze mają długie aksamitne szarafany, jedwabne kolorowe pasy i jadąc dzwonią jak tramwaje. Ich konie mają skórę i kości i wspaniałe uprzęże z koralików i srebra. Szoferzy są jak mieszkańcy piekieł — wszystkich ras i narodowości, jeżdżą jak djabli, a na twarzy mają wypisanych 7 grzechów głównych z przyczynkiem. Fryzjerzy są tak liczni jak nigdzie i tak wszystko wiedzący i niezbędni, jak wszędzie na świecie. Siedzą tajemniczo w błyszczącem pachnącem wnętrzu sklepów za firankami z koralików lub kolorowej słomy.

Są jeszcze sprzedawcy uliczni. Człapią cicho pantoflami i na płaskich tacach uwieszonych jak wagi na sznurkach roznoszą czarny czaj i gęstą kawę turecką. Białe, klasyczne w linji woły ciągną wozy ciężarowe, a na żółtym piasku sunie powoli ich fioletowy cień.

Na ulicy, w kawiarniach, siedzą Turcy. Grzeczni Turcy Kemala Paszy w kapeluszach i marynarkach. Z ukośnem spojrzeniem suną Turcy ancien régime'u. Nie wierzyłoby się, że to jest ich strój codzienny — turbany — pasy — długie kaftany — gdyby nie stempel prawdziwego brudu potwierdzający autentyczność.

Na rusztach ulicznych kuchni skwierczą kawałki mięsiwa, obracane czarnemi palcami kucharza. Brzęczą muchy. Bocznemi ulicami przemykają się Turczynki w szarawarach — brzydkie, bezbarwne i Armenki w czarnych chustach, jakby zakonnych.

Czy już jest wszystko potrzebne do dekoracji wschodniej? Nie — jeszcze są psy, bezpańskie psy chodzące bokiem pod stołami ulicznych kawiarni i czekające kopnięcia lub łaskawego kęsa. I jeszcze jest dzień powolnie idący w rozpalonem słońcu, zdążający ku wieczorowi.

Bo dopiero wtedy zaczyna się przedstawienie. Gdy „zachód" zejdzie się ze „wschodem" i zderzy się ludzką falą pod pomnikiem Owidjusza. Wtedy ruszą się senni statyści i wymowną mimiką i głośnem słowem zaczną zachwalać swoje usługi i towar. Wtedy wszystkie kawiarnie wybuchną skłóconym dźwiękiem muzyk i uliczni tenorzy wejdą na estrady, aby potrząsać kruczemi włosami, toczyć błędne oczy i słać rulady głosu wraz z patetycznym gestem w niebo szafirowe, w błyszczące gwiazdy, i wzdłuż wieżyczki minaretu — aż w księżyc.

Wtedy także przyjadą wspaniałe Packardy, Peugeot'y i przywiozą kobiety. Przepiękne, cudownie ubrane kobiety, które usiądą przy stolikach i będą jadły bardzo słodkie ciastka. Zbliska widać na twarzach zbyt jaskrawe pociągnięcia szminki, ale to nie ujmuje uroku tym kobietom. Towarzyszą im mężczyźni, niezwykle z zanadto jedwabną elegancją ubrani. Nie razi to jednak — tutaj zmysłu estetycznego. Wszelka przesada w upiększaniu podniesiona jest do godności stylu.

Między stolikami, między tłumami przechodni krążą przekupnie, roznoszący słodki rahat locum i orzechy w słojach, a pod stołami pomykają cicho — psy włóczęgi.

Za chwilę auta i dzwoniące jak tramwaje powozy powiozą w mrok — pary, same pary. Czy zakochane — nie wiem. Ale „one" patrzą omdlewająco z pod uczernionych rzęs, a „oni" uśmiechają się uwodzicielsko. Grają rolę w kolorowym filmie w Constantzy, na najpiękniejszem tle nieba i morza.

III

BABSKIE GADANIE O MORZU

W Mamaia morze było jak niebieska gazowa falbana, marszczona w drobne falki na srebrnem tle piasku.

W Constantzy, gdy się je widziało zdaleka, wyglądało jak szafirowa zasłona z tęgiego jedwabiu, załamana w ostre fałdy, a zbliska wydawało się jakby podnoszony wiatrem płat olbrzymi brokatu ton sur ton.

W Carmen Sylva było w kropki. Aha! Czy nie mówiłam zawsze, że kropki wyglądają doskonale na plaży. Tutaj morze było niebieskie w białe kropki światła. Wyglądało to niezwykle — elegancko — w połączeniu z białą tiulową riuszką piany.

W Mangalia oglądałam morze ponad murem starego cmentarza tureckiego. Na ziemi leżały w rozbiciu i zapomnieniu omszałe płyty grobowców i z wątłych kolumienek spadłe kamienne turbany. Z cienia brzoskwiniowego drzewa rosnącego pod murem — widziałam morze łagodnie zielone, jak jedwabny modlitewnik.

Pod Capu Caliacza, pod starą skalną twierdzą turecką, morze wiło się wokół rudych skał, jak pas dookoła opalonych słońcem, nagich bioder. Pas był wzorzysty, tkany z głębokiej zieleni wirów, czerni skał podwodnych, srebrzystości odległej dali, białych bryzgów pian i niebieskich błysków oślizgłych ciał foczych.

W Balcie morze było spokojne i miękkie. Kładło się wokół murów pałacu królowej, jak tkanina batikowana wykwintną ręką w wymyślne wzory. Z tarasów ogrodu padały w morze płatki okwitłych róż, kielichy balsamin i białe wstęgi wodospadów.

Gdy przyjechałam do Warny, biegłam na brzeg z tęsknotą, ciekawością. Jakie jest morze?? Brzydkie było. W ciasnem kole zatoki na szaro brudnem tle zmąconej

wody kłębiły się setki i tysiące ludzkich ciał. Przypomniał mi się tani gase voile, drukowany w bezsensowny wzór w pospolitem zestawieniu kolorów. Woddali zielenił się pasek szlachetniejszej barwy. Po chwili łódka wiozła mnie przez gładki zielony crêpe satin, daleko, ku Galacie, wiosce tureckiej, gdzie wokół skał snuły się płynne pasma szmaragdowej mory.

A raz widziałam morze w czasie burzy. Wtedy dopiero zrozumiałam dlaczego nazwano je czarnem. Morze Czarne — morze złe.

JANINA OSIŃSKA

Warna, sierpień 1931 r.

MĘŻCZYZNA W ROKU 2031

Sądzę, iż jest zupełnie prawdopodobne, że w stosunkowo krótkim czasie instytucja ojca zostanie zupełnie zniesiona... Jeżeli zmiana taka zajdzie, wywrze ona głęboki wpływ na psychikę i postępowanie mężczyzn, głębszy sądzę nawet niż możnaby przypuszczać.

Bertrand Russel — „Małżeństwo i moralność".

Nuńko Męski pracował w Wydziale Reklamy Wytwórni Aerorowerów. Był oczywiście stenotypistą. Oczywiście, — bo czem w tych czasach mógł być mężczyzna. Kobiety zajęły wszystkie placówki, wymagające wiedzy, energji, szerszego horyzontu, inicjatywy, zdolności, odwagi itp. Praca mężczyzn wogóle była źle widziana. Uważano, że przeznaczeniem mężczyzny jest życie miłosne i domowe.

Praca, według panujących ówcześnie poglądów, zabijała w mężczyźnie to wszystko, co zamyka się w słowie męskość, a co jest syntezą tkliwości, słodyczy i uległości. Mężczyzna pracujący ulegał zwalczanym przez zazdrosne o swoją władzę kobiety prądom emancypacyjnym. Starał się upodobnić do kobiet. Nosił skromne, jednobarwne garnitury, palił papierosy, zachowywał się zbyt swobodnie, nierzadko pijał nawet alkohol. Cechy te nie podobały się kobietom, które monopol na te przywileje chciały zachować wyłącznie dla siebie. Erotykę kobiecą raził typ emancypanta. Swobodny, energiczny, niezależny ekonomicznie mężczyzna budził niechęć, wiadomo bowiem, że w miłości szukamy kontrastów.

Bezwątpienia do zwalczania pracy mężczyzn przyczynił się również wzgląd ekonomiczny. Nadmierna podaż rąk roboczych obniżała cenę pracy, do czego zorganizowane w silnych związkach zawodowych kobiety nie chciały dopuścić.

Jak zwykle, na pomoc silniejszemu przyszła nauka. Higjenistki i lekarki udowadniały, że ustrój fizyczny mężczyzny nie pozwala na intensywne wysiłki fizyczne i intelektualne, a psychologiczki twierdziły zgodnie, że inteligencja męska jest zbyt ciasna i jednokierunkowa, aby mogła być zużytkowaną w poważnych dziedzinach pracy. Niemiecka uczona Lotta Weibsinger w rewelacyjnem dziele „Płeć i charakter" poszła jeszcze dalej i wykazała na podstawie niezbitych argumentów, popartych wzorami matematycznemi, że mężczyzna wogóle nie ma duszy.

Prawodawstwo wobec problemu pracy mężczyzn zachowywało się z pewną rezerwą. Zasadniczo we wszystkich stanach Europy formalnie uznawano prawo mężczyzn do pracy, faktycznie jednak prawo to było tylko frazesem. Rząd Stanów przez palce patrzył na masowe wydalanie mężczyzn z biur, fabryk i warsztatów, a Ministerka Pracy delegacjom bezrobotnych mężczyzn wręcz oświadczyła, że w dobie ogólnego bezrobocia raczej należy zwalniać nie posiadających żadnych obowiązków mężczyzn, przeważnie utrzymywanych przez swe przyjaciółki i żony, niż kobiety, które muszą wyżywić nietylko siebie, ale i dzieci. W niektórych stanach lokalne rządy wydały zarządzenia redukcji mężczyzn żonatych, których żony pracują, a we wszystkich stanach pod płaszczykiem troski o zdrowie, higjenę i moralność publiczną wprowadzono zakaz pracy nocnej mężczyzn.

Nic dziwnego, że w tych warunkach praca mężczyzn była bardzo wyzyskiwana, gorzej płatna i bardziej lekceważona. Pogląd o niższości umysłowej mężczyzn sprawił, że szereg zawodów stał się wogóle dla nich niedostępny. Mężczyzna lekarz np. był rzadkością. Do adwokatury, sądownictwa i wyższych godności urzędowych wogóle mężczyzn nie dopuszczano. Do parlamentów stanowych i centralnego wybierano jedynie nielicznych przedstawicieli mężczyzn, jakby przez kurtuazję, nie mieli oni jednak wskutek swej liczebności żadnego wpływu na przeciwdziałanie prawnemu i faktycznemu upośledzaniu reprezentowanej przez siebie płci.

Oczywiście nie wynika z tego, że mężczyźni próżnowali i żyli manną bożą. Nie. Olbrzymie masy proletarjatu męskiego pracowały bardzo ciężko i za nędzny grosz. Pracze, szwacze, hafciarze, koronkarze, służący domowi w pocie czoła harowali na kawałek chleba. Również w biurach na niższe stanowiska, zwłaszcza kancelistów i stenotypistów, przyjmowano mężczyzn.

* * *

Otóż Nuńko pracował w charakterze stenotypisty. Był jednym z nielicznych mężczyzn zatrudnionych w Wydziale Reklamy i z tego powodu zapewne cieszył się ogólną sympatją pracowniczek biura. Niestety, sympatja ta nie wynikała z koleżeństwa pracy, ale miała wyraźny podkład erotyczny. Nuńka lubiano i nadskakiwano mu nie dlatego, że był dobrym pracownikiem i człowiekiem, ale dlatego, że był piękny i budził pożądanie. Gdyby nie krucze włosy, których gęstwa walczyła zwycięsko ze starającym się utrzymać je w porządku grzebieniem i spinkami, gdyby nie śliczna twarzyczka, której bladość ożywiały dyskretnie używane: puder, róż i ołówek do brwi i ust, gdyby nie łabędzia szyja, wdzięcznie wychylająca się z koronkowego kołnierza, gdyby nie starannie wypielęgnowane rączki z lakierowanemi paznokietkami, gdyby nie zgrabne nóżki opięte w jedwabne, lśniące pończoszki, — niewiadomo, czy Nuńko byłby tak lubiany.

Nuńko zdawał sobie z tego sprawę. Przecież widział jak ślizgały się po jego łydkach, ramionach i szyi pożądliwe spojrzenia kobiet, czuł, że koleżanki biurowe całowały przy powitaniu i przy pożegnaniu jego ręce z gorliwością znacznie większą, niżby to zwykła kurtuazja kobieca w stosunku do mężczyzn usprawiedliwiała, rozumiał, że to nachylanie się referentek nad jego maszyną w chwili dyktowania nie było powodowane koniecznością sprawdzania tekstu maszynowego...

I Nuńko cierpiał bardzo z tego powodu. Nie chciał być aniołkiem biurowym. Z oburzeniem i pogardą patrzył na tych kolegów, którzy objadali się ofiarowywanemi im przez koleżanki biurowe i klientki pomadkami, którzy szczerzyli zęby do szefek i referentek, którzy pozwalali się w pustych kurytarzach szczypać, obejmować i całować, którzy wreszcie odważali się nawet na odwiedzanie urzędniczek w ich panieńskich pokojach, stając się przez to przedmiotem tłustych dowcipów, opowiadanych sobie na ucho przez żeński personel biura.

Nuńko hołdował zgoła innym zasadom, które wyniósł z domu rodzicielskiego. Jego rodzice byli małżeństwem monogamicznem i zdecydowanie zwalczali swobodę erotyczną mężczyzn. Poglądy swoje przekazali

dziecku. Nuńko otrzymał bardzo staranne wykształcenie. Grał na pianinie, mówił po francusku, jednem słowem, posiadał wszystkie cechy kawalera z porządnego domu. Rozumiał, że cnota jest największym skarbem mężczyzny, że dzięki niej tylko będzie mógł wyjść za żonę i zostać znanym i uznanym ojcem, co było jego najgorętszem pragnieniem. Gdyby Nuńko był posażnym kawalerem, niewątpliwie, zważywszy na jego urodę, byłby już wydany; niestety, wszystkie starające się o jego rękę kobiety, po zjedzeniu kilkudziesięciu kolacyj i stwierdzeniu, że rodzina Męskich utrzymuje się jedynie ze skromnej pensji matki, pracującej w charakterze dyrektora rzeźni miejskiej, — więcej się nie pokazywały. Może wreszcie znalazłaby się jaka uczciwa kobieta, któraby wzięła Nuńka, nie pytając o posag i wyprawę, ale rodzice Nuńka zmarli i Nuńko nie mógł już pozwolić na bywanie u niego kobiet i nie mógł sam bez opieki bywać, a wiadomo, że gdy się nie utrzymuje stosunków towarzyskich, trudno marzyć o małżeństwie.

Pozbawiony opieki rodzicielskiej Nuńko znalazł się w nędzy. Próbował zarabiać szyciem, haftowaniem, batikowaniem, jednak środki zdobywane w ten sposób nie wystarczały nawet na najskromniejsze potrzeby. Z rozpaczliwej sytuacji wydobyła Nuńka przyjaciółka matki, nauczycielka boksu, która dzięki znajomościom posiadanym w Wytwórni Aerorowerów (szefka Wydziału Reklamy była jej uczennicą), zdołała Nuńkowi wyrobić posadę stenotypisty.

* * *

Szefka Wydziału Reklamy Wytwórni Aerorowerów p. dr Koksińska była matką trojga pięknych dzieci, dla których ojców dobierała, kierując się wyłącznie wskazaniami eugeniki. Trzeba to z uznaniem podkreślić, że umiała oddzielić przyjemność od obowiązku społecznego. Kochała się, szalała, miała i w domu i na mieście po kilku nieraz utrzymanków, jeżeli jednak chodziło o urodzenie dziecka, — i uczucie i zmysły szły na drugi plan, a jedynem kryterjum wyboru ojca była jego wartość jako ojca. Będąc zwolenniczką szeroko pojętego indywidualizmu, wierząc w dziedzictwo cech psychicznych i fizycznych, dla uniknięcia szablonu, zaszczytną i odpowiedzialną funkcję spowodowania ciąży za pierwszym razem powierzyła lekkoatlecie, za drugim muzykowi, a za trzecim kasjerowi. W ten sposób chciała zapewnić swemu pokoleniu, przez wzajemne oddziaływanie upodobań dzieci, trzy cechy: zdrowia, artyzmu i praktyczności życiowej. Obecnie dr Koksińska nosiła się z zamiarem urodzenia czwartego dziecka, któreby wniosło do społeczności rodzinnej dodatnie wartości męskie: uczuciowość, wdzięk, subtelność i t. p. Zaprawione w wyborze ojców oko p. Izy padło na Nuńka. Z właściwą sobie energją przystąpiła do akcji. Gdy po zamknięciu biura Nuńko, wracając do domu, szybował na swem aero nad miastem, spostrzegł w pewnym momencie lecący obok aeromotocykl swej szefki. Skinął wdzięcznie główką swej pracodawczyni, ta zaś, stłumiwszy hałas motoru, grzecznie, ale stanowczo, tonem nie dopuszczającym odmowy, sprecyzowała swą prośbę:

— Panie Nuńku, zechce pan łaskawie stać się powodem mego macierzyństwa.

Fala krwi uderzyła Nuńkowi do głowy, wypuścił kierownicę z rąk, o mało nie wpadł w korkociąg, skrzydłem zawadził regulującego ruch powietrzny policjanta, wreszcie, z trudem opanowawszy nerwy i aero, pół żywy wylądował na tarasie swego domu. Zadyszany wpadł do pokoju, rzucił się na łóżko i zmęczony płaczem zasnął. Zbudził go dzwonek telewizjofonu. Podszedł do aparatu, zdjął słuchawkę i... na ekranie zobaczył twarz p. Izy. Usiadł. Łzy i pot zaczęły kapać na roześmiane oblicze prześladowczyni.

— Panie Nuńku, — zapytała, — czy zdecydował się pan wyświadczyć mi drobną przysługę, o którą prosiłam?

— Boże, Boże, co ja pocznę? — jęczał Nuńko.

— Pan nie pocznie, — ja pocznę, — sprostowała p. Iza.

— Nie, nie, nie mogę, — prosił. Ja chcę wyjść za żonę. Pani rozumie, że to się nie ukryje, Pani sama o tem wszystkim opowie. Pani wie, że w dzisiejszych czasach kobiety bardzo rzadko zawierają związki małżeńskie, a jeżeli to czynią, to mężczyzna musi mieć przeszłość nieskazitelną. Pani mi złamie życie. Owszem, ja chcę być ojcem, o tem marzę, ale chcę być ojcem ślubnym i mężem. Chcę dziecko wychowywać, być z niem razem, pieścić je, troszczyć się o nie, szyć mu sukienki i lalki. Nie, nie, nie mogę!

Pani Iza zmarszczyła brwi i zacisnęła zęby. Długo żuła w ustach jakieś słowo, połknęła je, zmieniła widać zamiar, bo nagle rozjaśniła twarz i słodkim, pieszczotliwym, męskim niemal, głosem zaczęła szeptać:

— Dzieciaku! Głupi, mały, śliczny, dzieciaku! No dobrze, już nie. Ale w takim razie spełnisz inną moją prośbę?

— Wszystko uczynię, co pani zechce, tylko nie to, tylko nie to, — krzyczał uradowany Nuńko, ocierając łzy z oczu.

— Wszystko?

— Wszystko, wszystko!

— No, dobrze, pamiętaj, przyrzekłeś: — Pojedziesz ze mną na dancing do Oazy!

Nuńko zbaraniał. Ale trudno. Rzeczywiście przyrzekł. Stało się. Lepsze to, niż tamto. Wiedział, że z panią Izą żartować nie można, że odmowa może spowodować utratę posady. Zresztą dancing to jeszcze nie zbrodnia. Przecież kolega jego Lusiek Tancman, z domu Beztroski, też chodził na dancingi, a wyszedł za żonę i ma już dwoje dzieci. Więc po namyśle powiedział:

— Dobrze.

— Całuję śliczne łapki, — szepnęła p. Iza, powiesiła słuchawkę i zgasiła ekran.

° ° °

O dziesiątej wieczorem na tarasie domu, w którym mieszkał Nuńko, wylądował luksusowy samolot pani dr Koksińskiej. Za chwilę oboje lecieli do stolicy. Nuńko nie bał się. Pani Iza zachowywała się zupełnie poprawnie. Raz tylko w drodze ucałowała z jakiegoś tam powodu jego ręce, ale bardzo chłodno. Tak chłodno, że nawet go to trochę zdenerwowało. Gdy wjeżdżali w łunę świateł stolicy, Nuńko był jak najlepszej myśli. Gdy wchodzili do lokalu, w Nuńku nie było ani szczypty strachu, tylko ciekawość. Zajęli dyskretną lożę. Pani Iza kazała podać szampan. Muzyka wprawiła Nuńka w miłe podniecenie. Chciał tańczyć. Poproszony przez panią Izę zgodził się bez wahania. Było mu dobrze. Tylko ci boy'e tańczący na scenie razili jego poczucie wstydu. Jak oni mogą tak się obnażać przy kobietach, — myślał. Potem znowu oburzył się z powodu jakiejś niedwuznacznie dwuznacznej piosenki. Pani Iza wytłumaczyła, że to nic złego i nalała kieliszki. Dotknął lękliwie kielicha karminem warg i zachęcany serdecznie przez towarzyszkę wypił. Pani Iza przepraszała go za dzisiejszą propozycję. Nie bronił rąk. Przebaczył i zgodził się wypić na zgodę. Potem już pił chętnie. Świat wydał mu się piękny i dobry. I pani Iza dobra. Taka serdeczna, wylana, szczera. A w biurze wydawała się zawsze nachmurzona i budziła lęk. To ciekawe: — stwierdził, że jest przystojna. Zupełnie przystojna. Ładna. Że też tego nie zauważył w biurze. Już nie gniewał się, gdy prosząc go do tańca całowała mu ręce aż do łokci, nie gniewał się nawet, gdy mu gładziła pończoszkę na kolanie. Zauważył, że pani Iza ma ładne oczy i że gdy te oczy na niego

patrzą, to jest mu niewymownie przyjemnie. W pewnej chwili zapragnął, ale to bardzo zapragnął, oprzeć głowę na wyraźnie zarysowanych pod marynarką piersiach pani Izy. Powiedziała, że nie można, bo ludzie patrzą i skinęła na kelnera.

Po chwili zorjentował się, że nie jest już w Oazie, lecz w pokoju na kanapie, a obok klęczy pani Iza. Taka dobra, kochana pani Iza. Poczuł jej gorący oddech i rozkosz połączenia warg.

Pani Iza zaczęła rozpinać nerwowo jego ubranie i szalonemi ustami błądzić po jego dziewiczem ciele — — — — — — — — — — — — — — — — —

Nuńko został ojcem.

* * *

A jednak Nuńko wyszedł za żonę.

Oczywiście pani Iza, osiągnąwszy zamierzony cel, przestała się nim interesować, oczywiście upadek Nuńka stał się publiczną tajemnicą, — jednak znalazł się ktoś, kto gwizdnął na przesądy i przeszłość Nuńka i poprosił go o rękę. Była nim pracująca w Wydziale Reklamy referentka prasowa, bezdzietna panna, inż. Postępowska. Kobieta ta była jedną z pionierek wyzwoleńczego ruchu mężczyzn. Gdy ukazały się rewelacyjne feljetony dra Cowboy-Nieżeńskiej p. t. „Piekło mężczyzn", ona pierwsza napisała w „Świecie Męskim" entuzjastyczną recenzję o tej książce, domagając się poszanowania praw ojcowskich mężczyzny, niezależności ekonomicznej i wolności erotycznej.

Nuńko pod wpływem swej żony zrewidował swoje poglądy na sprawę męską i stanął przy jej boku (żony, nie sprawy) do walki o nowe ideały. Zczasem został prezesem miejscowego Związku Pracy Obywatelskiej Mężczyzn i na tem stanowisku położył niespożyte zasługi dla idei emancypacyjnej. Miał dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, które wychowane w duchu nowych prądów stały się wyrazem buntu młodzieży przeciw skostniałym i reakcyjnym poglądom na małżeństwo i moralność.

JÓZEF CZYŚCIECKI

LISTY Z WARSZAWY

WDOWI GROSZ MAGISTRATU. AKCJA ZARADCZA PRZECIW PRZELUDNIENIU. „NASZA JEST NOC". MOWA MATURZYSTKI. IMIENINY PANI PRZEŁOŻONEJ. NIEFORTUNNY FANATYK PRAWDY. NIEPEDAGOGICZNY WUJEK.

„Magistrat uchwalił wprowadzić do budżetu na rok 1931/1932 symboliczny kredyt w kwocie 1 złotego (jeden złoty) na akcję w zakresie medycyny społecznej."

Tyle dzienniki.

Zaiste, w uchwale tej tkwi coś z wzniosłości ewangelicznej przypowieści o wdowim groszu i coś z genjalnego gestu Aleksandra Wielkiego w Gordos. Spodziewajmy się dalszych podobnych uchwał. A więc jeden symboliczny złoty na operę, tyleż na teatry, tyleż na nagrodę literacką, tyleż na pensje urzędników i t. d.

Przychodzi mi do głowy, czyby nie należało nawet wybić specjalnych, „symbolicznych złotych". Zamiast orła miałyby one wizerunek syreny we wdowim welonie, wyciągającej rękę ku skarbonce; wkoło napis: RAPERE AUSAE. Złote powinny być sprzedawane w cenie 10 zł. za sztukę i w nich tylko możnaby uiszczać wszystkie podatki komunalne — naturalnie licząc wedle nominalnej wartości. Ofiarowuję ten pomysł bezinteresownie warszawskiemu magistratowi, jako swój grosz, choć nie wdowi.

Zresztą jeśli chodzi o medycynę społeczną, to czyż potrzeba pokaźniejszych kredytów? Ulice Warszawy, jak i innych większych miast, zapełniają się młodzieżą wracającą z letnisk. Rozkosz spojrzeć na te oblicza zbronzowiałe od słońca Huculszczyzny lub wichrów Bałtyku! Bije z nich tężyzna i zdrowie. Pocóż takim jakakolwiek medycyna? Przydałaby się chyba dla tych, co rok cały oszczędzając pozostają na lato w dusznem, dławiącem od kurzu mieście, byleby swym dzieciom dać możność odetchnięcia powietrzem „niw i borów". Lecz pocóż się troszczyć o starsze pokolenia? Wszak grozi nam przeludnienie. Boy grzmi na alarm w tej sprawie i podaje środki zaradcze. Niewątpliwie skuteczne, ale można przecież spojrzeć na tę kwestję z drugiego końca: Wyzbyć się starych. Praktykowano to z dobrym skutkiem w greckich czasach. Np. co wyżej czterdziestki, niech sobie wymrze głodem. Podobno wprowadzono to już tytułem eksperymentu we Lwowie. Nie wypłacono emerytom pensyj. Niech sobie wymrą. Nam przedewszystkiem chodzi o młodzież. — „Kwiat narodu".

Kocham te „kwiaty, które kwitną w ustroni" obozów rozrzuconych po całym kraju. Część wakacyj spędziłem w okolicy, gdzie było tych obozów co krok, o kilkaset metrów jeden od drugiego; rozmaite, męskie i żeńskie.

— Szkoda, że niema mieszanych — zwierzył mi się uczestnik jednego z nich.

Racja, szkoda. Ale wedle słów lwowskiego laureata — jeśli mnie pamięć nie myli — „zawsze się znajdzie taka dziura, przez którą będzie można wleźć".

W pensjonacie, w którym mieszkałem, odbywały się prawie co wieczór huczne dancingi, trwające czasem do świtu. Z sali, huczącej tonami schrypłego gramofonu; z oparów dymu, perfum, pudru, alkoholu i czarnej kawy wymknąłem się w pole.

„Bywają takie noce, gdy miljard gwiazd migoce" — darł się za mną sfatygowany gramofon, sam nie wiedząc, ile racji miał w tym momencie. Noc była kubek w kubek taka sama. Nie uszedłem daleko, patrzę, miedzą od kolonij, na których mieściła się gromadka podlotków, smyrga kilka cieni, a wnet z za gęstych krzów polnej róży wyłoniły się inne cienie w furażerkach na głowach. Obie gromadki połączyły się i razem powędrowały „wśród pól malowanych zbożem rozmaitem". — Honny soit qui mal y pense! W poezji na sto wierszy, opiewających piękno gwiaździstych nocy, znajdzie się może jeden najwyżej, zawierający chwalbę skwarnego południa, a jak dotąd protesty Winawera przeciw przeliteraturyzowaniu szkolnych programów są głosem wołającego na puszczy.

Gdy połączone w pary cienie mijały mnie zaszytego w „różany gąszcz", powiew wiatru przyniósł tony muzyki i wnet jakiś słabiutki sopranik podjął melodję: „Naszą jest noc i oprócz niej nie mamy nic".

— Biedaki — pomyślałem z współczuciem. — A jakże jest z dniem?

Dzień regulaminowo wypełniony. Od tej do tej mycie, śniadanie, plaża, kąpiel i t. d. W rygorystycznych ramach godzin i minut (kto wie, czy nie sekund) znajduje się i czas na pisanie listów do rodziców.

Ciekawym, czy znajdzie się w nich opis nocnej wycieczki. Wątpliwość moja nie płynie stąd, żebym podejrzewał jakieś zdrożności, o których mogą tylko wróble wioskowe ćwierkać, ale które winny pozostać wieczną tajemnicą dla rodziców. Bóg strzegł. Obawiam się tylko, czy regulamin nie przewiduje gotowego formularza listów, jak to się naprzykład dzieje z przemówieniami na szkolnych uroczystościach.

Zaproszony na rozdanie matur do jednej z warszaw-

skich szkół, rozmawiałem z primuską opuszczającej zakład klasy.

— Nie żal paniom rzucać szkołę? — spytałem.

— Żal?! Czego? Tych ośmiu lat udręki? Więzienia, w którem na jedną modłę przystrugiwano nasze indywidualności? Wykresu Trenów, czy lepienia z plasteliny bohaterów „Pana Tadeusza"? A może dyskusyj matematycznych lub godzin wychowawczych, na których brzęczały te same wciąż w kółko powtarzane frazesy, co może przed pięćdziesięciu laty miały jakąś wartość i to wątpię.

— A ludzie? Nie przywiązały się panie do nauczycielek, nauczycieli?

— Tych kochających nas, drogich wychowawców, co? — szydziła panienka. — Przecież to oni robią szkołę nieznośną. Ludzie? Możliwe, że gdzie indziej, u siebie w domu są ludźmi. Do szkoły przywdziewają jeden i ten sam mundur profesorskiego autorytetu, tych samych zdań, które jedni powtarzają może z wiarą, a drudzy... — wzruszyła ramionami — ale mówią to jednym, tym samym tonem. Nie rozróżnić czy z przekonaniem, czy bez. W szkole niema ludzi; są uczennice i nauczyciele, jak są ławki i katedry — wszystko to sprzęty szkolne.

W tym momencie odwołano moją interlokutorkę; miała imieniem klasy wygłosić przemówienie. Przemówienie, którego konspekt podała wychowawczyni, a które ostatecznie przejrzał i poprawił dyrektor.

Kiedy wszedłem na salę, przemówienie się już zaczęło.

— *...Nigdy nie zapomnimy tych najlepszych, najszczęśliwszych lat* — mówiła panienka — *spędzonych pod waszą, pełną miłości opieką. Kiedy będzie nam ciężko i źle, będziemy myślą wracać ku nim, by w tem wspomnieniu czerpać siłę ożywczą na dalszą drogę życia. Jak żywe powstaną wtenczas przed naszemi oczami wasze postaci, czcigodni i kochani wychowawcy. Jakby dopiero co wczoraj słyszane, zadźwięczą w uszach słowa prawd wieczystych, które głosiliście, a które z wiekiem w całej pełni zrozumiałe, staną się drogowskazem naszego postępowania. Niechże pewność, że nauki wasze zamierzony wydadzą plon; niechże dozgonna wdzięczność i miłość trzydziestu młodych serc będzie wam choć w części nagrodą za wasz nieodpłacony trud...*

— Kochane dzieci — szepnął historyk do księdza prefekta a matematyczkę, zwaną wśród dziewcząt „wściekłą wydrą", widoczne wzruszenie ścisnęło za gardło. Mnie też dziwnie coś podłaziło do gardła i niezwłócząc opuściłem salę.

Żeby zaprawić dzieci do takich „serdecznych, szczerych" przemówień, urządza się niekiedy ćwiczenia dla całych klas.

Jak burza wpada do mego pokoju jedna z siostrzenic, szesnastoletni podlotek.

— Wuju, wuju! — woła, popierając swą prośbę czterdziestokilkokilowem obciążeniem mej szyi. — Wujek mi musi napisać wypracowanie z polskiego, ale to zaraz.

Ostatecznie albo są węzły krwi, albo ich niema. Z ciężkiem westchnieniem pytam o tytuł.

— „Czego życzymy pani przełożonej?" Bo to teraz będą jej imieniny i najlepsze wypracowanie będzie głośno czytane i przełożona potem zaraz inaczej będzie się patrzeć na taką dziewczynkę. Wujek rozumie?

Niestety, zrozumiałem.

— A czegoż ty życzysz swej przełożonej? Lubisz ją bardzo?

— Lubić?! Tę wściekłą babę? My wszystkie jej życzymy, żeby ją pokręciło! Żeby... — tu posypały się dość skomplikowane życzenia, które najzdrowszego człowieka byłyby w stanie zrujnować do trzeciego pokolenia włącznie.

— Dobrze, dziecko — powiadam z powagą — mogę ci to napisać, nawet wierszem, jeśli masz ochotę. Ale... — dodałem przerywając wybuch jej radości — tylko to, coś mi sama o swych uczuciach powiedziała. Nie wymagasz ode mnie chyba wypisywania kłamstw?

— Ależ wujku, — wyrzekła zawiedziona — przecież prawdy nie można pisać.

O dziewczę rozsądku pełne! Zaiste prawdy nie można pisać. Jest to postulat pedagogji, wprawdzie nieurzędowej, lecz jak często zato znajduje on zastosowanie.

W pewnej żeńskiej szkole w Warszawie uczył młody polonista, mój znajomy. Człowiek ten przyszedł na świat z niewytłumaczoną idjosynkrazją do wszelkiej obłudy, niepohamowanym wstrętem do czczego, o tytuły jedynie opartego autorytetu. Pewnego razu dał wypracowanie p. t.: „Co zawdzięczam szkole pod względem naukowym i wychowawczym?". Nawiasem mówiąc temat ten przysłało kuratorjum na maturę eksternów tego roku.

— Czy wolno pisać prawdę? — spytała jedna z uczennic.

Mąż, fanatycznie przywiązany do prawdy, struchlał w sercu, lecz rzekł wymijająco:

— Nie wyobrażam sobie, żeby można pisać kłamstwa.

Wśród wypracowań znalazło się kilka, których autorki, z uznaniem wyrażając się o korzyściach, jakie dała im szkoła pod względem naukowym, stwierdziły równocześnie, że nauczyła je kłamstwa i obłudy.

— *Bo czyż nie uczy obłudy* — pisała jedna z nich — *nauczycielka, która najbardziej z całego grona maluje się i nosi najkrótsze suknie, a równocześnie najbardziej prześladuje używanie pudru i przykrótkie suknie? Choć często tylko dlatego nie mają one przepisanej miary, że zbyt prędko z nich wyrastamy.*

Niepedagogiczny szermierz prawdy musiał w trzy miesiące później, z końcem roku szkolnego opuścić szkołę, w której stał się przyczyną takiego zgorszenia. Chwała Bogu, jeszcze u nas nie Ameryka, gdzie taki Lindsey mógł szereg lat sprawować urząd sędziego dla nieletnich, odsłaniając przytem zuchwale prawdziwe oblicze młodzieży.

Żeby być sprawiedliwym, trzeba stwierdzić, że uczennice owe nie całkiem miały rację. Nie szkoła specjalnie uczy kłamstwa, lecz życie. Dziwi mnie tylko, że szkoła, która pod wielu względami potrafi być cieplarnią charakterów, nie dopuszczając ze szkodą swych wychowanków różnych prądów życia, pod tym jednym względem podobna jest porowatej glinie. Rozumiem, że trudno, by każdy nauczyciel był chodzącem wcieleniem wszystkich etycznych ideałów, które radby jak najszczerzej zaszczepić młodzieży. Dziwi mnie tylko to, dlaczego ci z pośród pedagogów, którzy sami chętnie balują, najbardziej się starają wybić młodzieży z głowy pociąg do „głupich tańcówek"? Czemu inni, gotowi zarwać noc przy zielonym stoliku, okazują najwięcej nieubłagania wobec ucznia, przychwyconego na sześćdziesiąt sześć? Czemu niema zawziętszych nieprzyjaciółek używania pudru wśród dziewcząt od nauczycielek, które same nie szczędzą sobie kosmetyków? Może lepiejby było zostawić tę akcję nietańczącym, niegrającym, niemalującym się?

Mnie osobiście zawsze stoi w pamięci cudowna przypowieść ewangeliczna o kamienowanej nierządnicy. „Kto z was bez winy..." Gdy mi moja podrastająca gromadka siostrzeńcza dobiera się do papierośnicy, to zaledwie mogę się zdobyć na łagodną prośbę, by okazali się mądrzejsi od głupoty moich ongiś lat szesnastu, którą jakże gorzko dziś przeklinam. Lecz gdy nadejdzie tylekroć obiecywany sobie czas, że przestanę składać patrjotyczny haracz Państwowemu Monopolowi, to niechybnie huknę pięścią w stół, aż się szyby zatrzęsą:

— Koci ogon w zęby, smarkaczu, a nie papieros!

S. E

BAŚŃ O CZARODZIEJU ZAWRACIE

GDY po raz pierwszy spojrzała królewna Dziwa we fiołkowe źrenice Jasnoty na cichej lewadzie pod gajem, gdzie trzodę swą pasał jak jodła wysmukły, urodny — przepomniała pańskiej swej doli, przepomniała królewskiego rodu i jeno Jasnoty pragnęła, pasterza o bujnych kędziorach.

Gdy po raz pierwszy zagrał królewnie swą pieśń pasterz z doliny na prostej z leszczyny ligawce, na biednej, pastuszej fujarce — zgłuchły biesiadne fanfary, zbladły jej fletniowe wspominki i jeno Jasnoty słuchała, gęślarza przedziwnej tęsknicy.

Gdy po raz pierwszy dotknęły ust Dziwy królewny płomienne wargi pasterza w pogodny, słoneczny odwieczerz, pod cichą zachodu godzinę — już innej rozkoszy nie chciała, tylko Jasnoty całunków, tylko pasterza pieszczoty — królewna Dziwa przeczysta, biała i harda dziewoja — gdy po raz pierwszy ujrzała pasterza z podleśnej lewady...

Od dnia owego, przedziwnej, pokrwawiem słońca złoconej godziny widywali się codzień. Dziwa służkę miała wierną, Jagodę czarnobrewą, której swą tajemnicę serdeczną zwierzyła, przed zdradą bezpieczna. W popołudnie każde, gdy już ścichały najgorętsze żary i skwar przypołudniowy pochylał uznojoną głowę, zstępowały obie dziewoje z królewskiej sadyby na łąkę podleśną, hań za górą, by kwiaty rzekomo zbierać, równianki pastewne. A gdy już były opodal zielonego bugaju, w kotlinie trawą zarosłej, krzami tarniny i dzikich róż bogatej, czekał tęsknicy pełen Jasnota swej pani umiłowanej nad życie.

I tak snuły im się czasy słodkie, upojeniem czarowne, mgłą rozkoszy przysłonięte.

Radował się lud wieśny z miłości owej, bo Jasnota pierwszym był junoszą w kraju lubo prostym pasterzem, a król sędziwy syna nie miał, by po ojcu zasiadł we władyczej stolicy. Radował się lud wsiowy i już w duszy prostaczej Jasnotę władcą swym przyszłym mianował. Lecz że zamysłów króla Gromisława nie znał, serca królewskiego niepewien, co postanowi, jak dolą jedynej córy rozrządzi, przeto strzegł tajemnicy młodych, wyrokom losów rzecz zostawiając.

Alić razu pewnego jeden z dworzan ciekawych, w Jagodzie rozmiłowan, wymknął się ukradkiem z dworca i z poza drzew wszystko wypatrzył. Nazajutrz król wiedział.

Rozsierdził się Gromisław okrutnie i aż zaniemówił od jasnego gniewu. Właśnie bo pod czas owy władny Czarnosza, kneź sąsiedniej, od wiek wieków zaprzyjaźnionej krainy dziewosłębów mu przysłał, by o Dziwę w łoże małżeńskie dla niego prosili. Król z duszy całej rad był potężnemu koniądzowi, gotowy oddać mu w opiekę po swej śmierci wraz z córą i lud swój z ziemicą. Jakżeż mu było teraz odpowiedzieć?

Przeto z odpowiedzią zwłócząc, tymczasem wysłańców na zamku podejmował, póki sprawy hańbiącej ród nie wyjaśni.

Gdy tak kneziowscy drużbowie po komnatach godują, niecierpliwość swą biesiadą uśmierzając, zeszły się w łożnicy panieńskiej królewny z rozkazu Gromisława co najprzedniejsze niewiasty, pierwszych w kraju witeziów żony i zamknęły się z dziewicą królewską w sypialnej świetlicy.

Czekał w udręce nieznośnej rodzic w komnacie tronowej, szarpiąc płaszcz swój szkarłatny, w złocienie przetykany, ciężkim krokiem marmury posadzki przemierzając.

A gdy dostojne niewiasty odpowiedź przyniosły i sąd swój o Dziwie z rumieńcem wstydu oddały, twarz króla z białej w ziemistą przeszła i jak chmura ponury odprawił Gromisław dziewosłębów Czarnoszy, córkę swą niegodną knezia mianując. Poczem wszystkich precz odpuściwszy, królewnę w sklep podziemny wrzucić kazał a sam zamknął się we wnętrzu grodziska na dni dziesięć, żadnej twarzy ludzkiej do się nie przypuszczając. Gdy po czasie owym znów oblicze swoje ukazał dworzanom, bezmała nikt go poznać nie mógł: postarzał się król przez tych dni kilka o lata całe, pomarszczonem licem starca na świat boży wyglądając; jeno oczy mu jakoś złowieszczo błyszczały.

Wnet potem wezwano na zamek czarownika Zawrata. Dziwnym był człekiem ów mąż tak cudacznie nazwany. Powszechnie uchodził za potężnego wróża, któremu nikt się nie oparł, choćby jak silny i możny. Z duchami pono gadał, pioruny ściągał, zoddali raził. Lecz mocy swej, jak szeptano, jeno na złe używał; bo była to włada nieczysta. Przeto lud stronił od guślarza, czarnoksiężnikiem go zowiąc, jako że z czartem spółkę trzymał, jasności wróg i bożych zamysłów.

Tego to wiłę Gromisław przyzwać kazał na swoje pokoje. Rozprawiali z sobą długie godziny a gdy wreszcie Zawrat znów wyszedł na podwórzec grodowy, twarz mu mieniła się złą radością i wężowe błyski szły z oczu. Zaraz też, nie mieszkając, zlecił król zbirom przywlec na zamek Jasnotę i pospólnie z Dziwą w lochu skuć łańcuchem.

Niebawem zaroiło się w dworskim parku od cieśli i szklarzy, którzy nakazem władyki zwołani wszczęli tam dziwną budowlę. Pracą kierował sam czarownik, tam i sam chodził, doglądał roboty, ganiąc surowo, gdy coś nie po myśli jego uczyniono. A działo się to w ogrojcu królewskim, w części najbujniejszej, zwierzyńcem zwanej, gdzie kwiaty przecudne omdlewać się zdały od własnej woni, gdzie drzewa wiekowe rozpościerały mszyste paroście, gdzie zwierz wszelaki wolno chadzał, ręką łowiecką nie ścigany. A był ci zwierzyniec ów na wzgórzu wysokiem, zdala wynoszącem się ponad park szumawą drzewnych wierzchołków.

Odmierzono zeń tedy przestrzeń znaczną, żeby na dom możnego rycerza starczyła, i zamknięto ją złocistą kratą ze wszech stron, w jednem tylko miejscu przesiecz na bramę zostawiając. Gdy tak część parku od reszty świata na głucho odcięto, rozniecili hutnicy duże ogniska podsycane oddechem stu miechów, że aż wicher powstał gorący i zaczęli stopiać w kamiennych kadziach całe sągi szkliwa. Okrutny żar palenisk zmógł je rychło i lało się kolnią gęstego, ciągliwego ciasta. Wtedy jęli wydymać szklaną masę w olbrzymi, półkulisto sklepiący się dzwon. Potworny był ten szklany olbrzym, w którego wnętrzu pomieściłoby się parę drużyn łowieckich. Gdy ostygł, lśniącą tysiącem migotów pokrywę wydźwignęły powoli żelazne żórawie ponad okratowany ogrojec.

I tak wisiał dzwon czas jakiś szklaną groźbą ponad wzgórzem i czekał. Wtedy król kazał wywieść z podziemi grodowych córkę i jej miłośnika i w ogród złotą siatką spowity wprowadzić.

Ledwie weszli, mrużąc oczy odwykłe od blasku dnia, zaskrzypiały w górze żórawie, zadudniły toki i śruby i dzwon zwolna opuściwszy się na zwierzyniec, przykrył go lśniącem w blaskach porannego słońca, śliskiem, o gładkich ścianach sklepieniem.

Ruchem ręki oddalił Zawrat sługi pracujące, szklarzy i hutników i samowtór z królem bez świadków pozostał.

— Wstrzymaj na chwilę rękę swoją — ozwał się Gromisław. — Pragnę raz jeszcze spojrzeć na wyrodne dziecię, gdyż, jak przyrzekłeś, nigdy już potem nie będą jej oglądać smutne oczy moje. Żałość niewczesna wtargnęła mi w męskie serce i sąd zasłużony odwleka.

Zamilkł król i czas jakiś patrzył przez szklaną ścianę w zawarty ogrojec.

A tam, wprost wrót złocistych na rygle zamknionych staw się rozlewał cichy, nie zmarszczony falą, a nad nim wierzby płaczące nachyliły smutne gałązki bez ruchu, bo wiatru pod banią nie było. W głębi otwierały się zielone oleje jesionów, dumały słodycz miodną sączące lipy. A ówdzie, pod kamiennym ołtarzem Żywji, bogini przedziwnej, co stwarza bez końca i początku i soki pędzi rozrodu, królewska córa siedziała z Jasnotą. On ramieniem pieściwem przyhołubił biedną do piersi i szeptał do ucha słowa pociechy. Twarz miał smutną, lecz rzewności pełną i z dumą spoglądał na jej łono, co już było poczęło.

Wkoło cisza ogromna: trawka nie zadrgała, liść nie zaszeleścił; czasem chyba z gęstwiny nadbrzeżnej podniosła się ważkim lotem dzika kaczka, by wnet opaść między rokiciny, czasem z gaju wyjrzała rosochata głowa daniela, przemknęła łasica między krzami leszczyny. Jakaś duszność nużąca padła na ten świat oszklony i przeczucie zmąciło gody jego życia. Oczekiwanie czegoś niebywałego stłumiło bujawość bytowania, zgasiło nieprzeparte, wyzwolin rade okrzyki. Wydarte z piersi tryszczących młodą siłą, co rodzić pragnie i plenić się pomiotem wieczystym, natknęły na szklistą powałę, na ściany bez serca i złamane wracały bezwładne...

Wtem Zawrat podniósł rękę: w skurczonych palcach wróża zabłysła rubinami wysadzana różdżka. I oto wszczęły się pod dzwonem dziwne przemiany. Znagła królewna i pasterz zrzucili ludzkie swe postaci i z pod ołtarza, pod którym tulili się do siebie w smutku i miłości, zleciała na czarne wody stawu para śnieżnych łabędzi. Popłynęły równo po gładkiej szybie, roztrącając białemi piersiami toń martwą, bez fali.

Lecz i wszystko wkoło uległo przekształtom. — Opasły borsuk, co właśnie wychyliwszy nieufną głowę z nory pod krzem ożyny, ostrożnie rozglądał się na wsze strony, nagle stężał; lśniącą sierść oblekła sucha kora, łapy grzebliwe gdzieś wsiąkły w kadłub i zwierzak przemienił się w pieniek dębczaka na skraju dąbrowy.

Ówdzie motyl plamisty, w ceglaste oka, w bursztynowe prążki zatrzepotał po raz ostatni skrzydełkami, co niespodzianie przeszły we wiotkie płatki dziewanny.

Sosny w zapuście smreczanym tam, hen pod ścianą przestały wydzielać lepką oskołę i jakby skrzepły; smoliste, rdzawe ich spławy wnikać zaczęły skwapliwie w pień, wkręcać się w macierzyste wnętrze, zielone igliwo cofnęło się w miąższ gałęzi, wracając tam, skąd wytrysło; niebawem sterczały na miejscu sosen skamieniałe słupce; kształt tylko pni pozostał — rdzeń stwardniała w zimny granit.

Tu Zawrat opuścił czarodziejską laskę i bieg wsteczny zastanowił. Król z trwożnem zdumieniem śledził zawrotnie szybko zmieniające się widowisko:

— Okropną jest moc twoja, stary wróżu. Nienawiść chyba i pomstę zaprzysiągłeś Żywji. Atoli strzeż się, bo władna to bogini!

Zawrat uśmiechnął się wzgardliwie i wzniósł rękę powtórnie. Wtedy nad gładzią jeziora uniosły się mgły i mleczne kędziory oparów i wałęsać się zaczęły jak ciężkie, śnieżyste giezła: wody dymiły. Poprzez dźwigającą się leniwo z łoża mrakę przeświecały srebrzyste ciała łabędzi, które wylękłe ubytkiem ciekłego żywiołu tułały się smutno, zataczając niespokojne kręgi. Staw parował

i kurzył dymami jak moczar. Rychło już i dno przezierać zaczęło żółtym piaskiem i gliną i zdało się, że ptaki osiądą na mieliźnie. Wtem opadły im skrzydła, znikły giętkie szyje i pod siłą czarów wyrosły w środku wyschłego łożyska na kępie trawiastej turzycy dwie smętne wierzby i wici skłoniwszy ku sobie, splotły się w miłosnym uścisku.

Lecz i w tym kształcie nie dał im Zawrat zawzięty trwać długo, bo wnet skinąwszy rubinową laską, przemienił wierzby płaczące w dwa martwe kamienie.

Niczego już pod dzwonem nie mogły dopatrzyć się królewskie oczy, prócz porozrzucanych w bezładzie odłamów skalnych, jakichś buł zbitych na grudę, skostniałych gąszczy, piasków i osypisk. Wszystko skamieniało. Tylko kształt dawny pozostał, niby wspomnienie minionej doli. Stożyły się wszędy laski krzemienia, szczerzyły kruche grzebienie traw, nastroszone skrzepłemi w kamionkę prętami krzaki i krzewy.

I odjął rękę czarodziej i odstąpiwszy od bani, pasł oczy widokiem martwicy. Król przesłonił lice krajem szaty, bo patrzeć nie chciał, bo mu się widziało, jakoby sam w piersi kamienne miał serce.

— Małoć to, kniaziu dostojny — przerwał milczenie wiła niesyty — małoć to. Wszakże przyrzekłem Wam, królu miłościwy, że ni śladu nie pozostanie.

I zakreśliwszy różdżką koła ostatnie, zaczął rozkładać kamienne zgliszcza. Wmig rozpadły się skałki na drobne cząsteczki, na ostre, kłujące żwiry, zwietrzały nagle twarde granity na suchą, piaszczystą osypkę, piorunem rzuciła się trupiesz na kwarce i złożyste łupki. A gdy już pod dzwonem nie pozostało nic prócz zwałów pyłu i próchna, puścił Zawrat te szcząty w piekielny taniec wirowy. Wzbiły się pod strop bani chmury burej kurzawy, siepnęły o ściany pylne odmioty i porysowały szklane zbocza w tysiączne pręgi. Zwolna dzikie kotłowisko przybierało pozór lotniejszy, rozmgłony, wnętrze dzwonu zasnuło się niby parną mgławicą, niby dymnym wysiąkiem, który cieńczał, rozpuszczał się, marniał, aż wszystko sczezło, rozwiało się i znikło. Pod banią rozsiadła się od ściany do ściany, od podnóża po posowę wielka, wzdęta pustka. Żarne słońce południa wysławszy na zwiady swe promienne gońce, zlękło się próżnego przestworu i zawróciło na podniebne szlaki: duży, obły cień padł daleko od pustego dzwonu...

Odwrócił Gromisław oczy od przybytku martwoty i w ponurej zadumie odszedł na zamkowe pokoje. Nazajutrz zwiastun królewski obwieścił między ludem, że Dziwa umarła...

W nagrodę za spełnione dzieło został Zawrat pierwszym wielmożą w kraju i przy boku pańskim na zamku zamieszkał. Lecz snać król nie miłował wielce wróża, gdyż rzadko przypuszczał go przed swoje oblicze, w gawędę z nim wdawać się nieskory. I lud też z nienawiścią nań spozierał, zabójcą umiłowanej pani zowiąc.

Niebawem zaczęły krążyć wśród wieśnej prostoty przeróżne baśnie o śmierci królewny, jedna cudaczniejsza od drugiej, bujnie się pleniąc, jak zwykle. Lecz z każdej mogłeś wyłuskać kruszynę prawdy, w każdej odnaleźć rdzeń wspólną: podanie o dzwonie, który Szklaną Trumną nazwano.

Został ci ten pomnik królewskiej woli i kary na górze ogrojcowej i w dnie słoneczne olśniewał bezlikiem migotów. Z bolem przesłaniali sobie ludzie oczy zwrócone w tę stronę i mijali dzwon szybko, bo smutne budził wspomnienia.

Był we wsi zdun bardzo leciwy, Świdwa imieniem, człek wielce czczony za mądrość i łagodną duszę. Lubieli go rataje, bo z poradą śpieszył każdemu, niedoli wszelkiej pomoc niosąc. Twarz miał zawsze pogodną i zawsze śmiały mu się dobre, siwe oczy. Ten to Świdwa jeden na całą krainę podrwiwał z Zawrata, za nic moc wróża podając.

— Lichyć on tylko człowiek — mawiał nieraz w gronie władyków — lichy i marny, co to się mądrości trochę nałykał, by na złe użyć. Alić i on nie wieczny, a Żywja przemożna. Nie trwałeć jego dzieło, nie trwałe. Ot i tak już je po nocach poprawia.

Na tem zwyczajnie urywał stary Świdwa a gdy go dopytywano, co ma na myśli, nie odpowiadał, pośmieszkiem ludzi zbywał, a nieraz i złajał srodze.

Słowo rzucone przez zduna puściło kiełki. Ludzie coraz częściej zaczęli spoglądać na szklany grobowiec a znaleźli się i tacy, co noce całe tracili na czatach. Aż i wypatrzyli rzecz dziwną. Oto co pewien czas po północy, gdy już kury piały po słobodach, pojawiało się na górze koło dzwonu jakieś światełko, obchodziło wkoło banię kilka razy i znikało w przyległych chaszczach.

By dojść tajemnicy, zakradł się syn Świdwy powszechnie Swarnym zwany w pobliże grodowe i w siódmą noc usadki ujrzał pod dzwonem w blasku kaganka uwijającego się Zawrata. Czarodziej okrążył sklepienie potrójnym nawrotem, za każdym razem kreśląc rózgą swą nieczyste znaki. Potem zgasił lampę i zniknął w wykuszu zamkowym.

Wieść o kradomych wędrówkach wiły wnet się rozniosła między ludem i uradowała mocno serca. Znać bowiem Świdwa prawdę mówił i moc wróża natknęła na jakąś przeszkodę. Lecz snać czarownik krył się z tem, by nie wydać na śmiech ludzki złej swojej mądrości i w noce cichaczem wykradał się do parku, by się z Żywją borykać.

Aż razu jednego po okropnej burzy, co najstarsze drzewa powyrywała, pół ogrojca zamuliła i zmiotnęła w dół na drzazgi nadrożną wieżycę, znaleziono nad rowem opodal gontyny zamkowej zwłoki Zawrata. Zginął w sposób tajemny, od pioruna czy z ludzkiej ręki — dociec nigdy nie zdołano. Ciało miał sino-czarne i szatański uśmiech na wargach.

Król zlecił pochować go dostojnie, lecz że sam za marami pójść nie raczył, wyniesiono wróża potajemnie za mury graniczne i wszyscy, jak jeden mąż przysiągłszy, że nikt przed Gromisławem tej samowoli nie zdradzi, wrzucili obmierzły zewłok jak padlinę do wilczego wądołu.

Tak zginął Zawrat wyklęty w pamięci ludu, znienawidzony u swoich. Kraj odetchnął po tym zgonie oddawna upragnionym i poweselały serca. Tylko król chodził smutny, mało się ludziom pokazując, w zaciszu komnat ukryty. Mówili ludzie, że zawziętości się kaja, z jaką własne dziecko zaprzepaścił i czynu swego gorzko żałuje.

A czas płynął niewstrzymanym nurtem, coraz nowe popławy chwil i godzin rzucając poza siebie. Z rozkazu pańskiego zamknięty park zamkowy pozbawiony pieczy ogrodnika dziczał z dniem każdym coraz więcej. Zamątwiły się ścieżki, zarosły grzędy kwiatowe, rzuciło się zielsko na piaskiem zasnute deptaki; drzewa wybujały zuchwale; pnącza jakieś porozpuszczały wokół sturamienne zasięgi i powiązały je ze sobą żywopłotną spójnią. Wydźwignęły się wpoprzek natrętne zasieki z powalonych przez burze kłód i pni, potworzyły się nieprzebyte zastrzały. Wzgórze ze szklaną banią u szczytu powoli zakryły okolne chaszcze, sosny i rapate graby; czas pewien świeciła jeszcze złowrogo z pomiędzy rozchylonych wiatrem chojarów wzdęta posowa dzwonu, lecz z lat upływem przytaiła się między zielenią i znikła wśród drzewnej powodzi...

Król a wraz z nim i dwór cały jakby o parku zapomniał. Bramy zawarto na żelazne wrzeciądze i nikt z zamku tamtędy nie chadzał. Tylko po nocach strażnik grodowy, gdy wkoło siedzibę królewską obchodził, nieraz słyszał jakoweś szmery, które płynęły od szklanego wzgórza. Lecz że człek był prosty i w moc złych czarów wierzący, przeto głosy owe wśród ciszy ponocnej strzygom przysądzał i milczał; może też dusza przeklęta Zawrata oderwać się od miejsca złoczynu nie mogąc, nad wzgórzem krążyła.

A przecież zajrzawszy uważniej na zbocze góry dzwonowej, byłby odgadł snadnie inną przyczynę. Bo lubo gęstwa ogromna kłębiła się na stokach i wszystko zakrywała, przecież ówdzie, od strony wsi rozgarnąwszy krzaki, odkryłby ścieżynę ubitą, co wiła się skrętami między dziczą drzew i zmierzała ku szczytowi.

Kto ją wydeptał i poco, kto nią przekradał się ku dzwonowi, niewiada. To pewna, że we wsi coś o tem szeptano, radując się z rokiem każdym coraz serdeczniej.

Aż dnia jednego — już parę lat po zgonie czarownika — nad ranem usłyszała straż zamkowa gwar okrutny u wejścia do królewskiej sadyby. Otwarto bramy i zbrojni pachołkowie wylegli przed dworzyszcze.

Dziwny zaprawdę widok rozpostarł się przed oczyma kneziowych kopijników. Cały dziedziniec zamkowy kołysał się tysiącem głów ludzkich: przybrany w świąteczne przyodziewy, promieniejący dziwną radością przyszedł lud w gościnę do władyki i domagał się gromkim głosem, by król się pojawił:

— Knezia nam dajcie! Po kneziaśmy przyszli! Szczęsną wieść przynosim! Króla miłościwego sprowadźcie! A żywo! A żywo!

Kolebał się tłum stubarwny i chwiał rozochocony bardzo we wstęgach dziewek, świtach niewiast i w mężów sukmanach.

A gdy Gromisław woli ludu posłuszny z świetlic grodowych zestąpił, porwał go lud miłujący i uniósł ze sobą ku parkowi. Sto ramion chwyciło za bramne kraty, sto drugich podważyło zawory i wśród zgiełku obaliwszy zaporę, wtargnęli do wnętrza.

A tam, na wzgórzu już wrzała praca. Tysiące drwali rąbało drzewa, trzebiło krzewną mątwę, mościło drogę.

— Pod dzwon kneziu, pod dzwon!

A już i on przeglądał z pomiędzy obalin, obrany świeżo z kryjącej go gęstwiny. Spojrzał król do środka bani i zdumiał. Pod dzwonem w miejsce pustki, którą przed laty zostawił, zobaczył wszystko po dawnemu: i staw rozlewał się cicho w okolu jaworowej zieleni i drzewa stały w pełnej krasie rozkwitu i ptaki przefruwały wesoło. Właśnie z gaju nad wodą wybiegła para jeleni a za nią lekko pomykając, sarniątko.

Wtem o dziwo! Miotnęły swe pyszne głowy i odpadły im rosochy; nie podległe już czarom nogi zmieniły swe kształty, tułów przybrał ludzki wygląd i nad brzegiem wód stanęli, oplótłszy się wzajem w uścisku Jasnota, pasterz z lewady i Dziwa, królewna.

Alić tu cud nowy! I sarniątko, co w ślad za rodzicami wychynęło z leśnego zapustu, zrzuciło niedawną postać i za chwilę pieściła Dziwa na łonie cudne, jasnowłose chłopię. Wtedy ojciec podszedł do żertwnika Żywji, bogini przedziwnej, skłonił się nisko i rękoma objąwszy kamienne węgły ołtarza, w pokorze tak trwał. I znać miłym był bogini hołd cichy pasterza, bo nagle buchnął z głębi ofiarnika płomień żywy, gorący i czerwonym językiem sięgnął pod szklany strop. Mocny być musiał i jak życie potężny, bo zaraz porysowały się ściany dzwonu, zatrzeszczało sucho szkliwo i potworna bania pękła w tysiączne kawały. A Jasnota i Dziwa z cudnem swem pacholęciem oswobodzeni z więzienia lat wielu zeszli ze wzgórza kary i skierowali nieśmiałe kroki ku królewskiemu rodzicowi.

Kneź szczęściem słoneczny na zamek ich ojcowski sam wprowadził, gości z całej krainy sprosił i weselisko wyprawił, jakiego nikt od wieków nie pamiętał. I godowali dni wiele w radości bez granic i weselili się szczodrze wśród wina i miodu, biesiadnej ochoty i gędźby. A gdy już mieli zabawy dosyta, król własną ręką włożył zięciowi koronę na głowę i następcą swoim uczynił.

I kneziował po nim Jasnota lat wiele mądrze i szczęśliwie, swoim łagodny i słodki, wrogom postrach i groza — przez lud wdzięczny „królem z lewady" przezwany.

STEFAN GRABIŃSKI

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA



Z CZEGO JA TYJĘ? Przecież ja *nic* nie jem — żali się każda grubaska i prawie każdy grubas!

Takby chcieli mieć piękną linję, zdrową cerę, lekkie zwinne ruchy, tak sobie odmawiają różnych rzeczy, tak uważają na siebie, zup nawet nie jadają — a ta nieszczęsna waga rośnie i rośnie, systematycznie, z dnia na dzień, z zastraszającym uporem.

Podbródeczek, brzuszek, biodra — nie wyliczając już innych części ciała — wszystko prosperuje widocznie, okazale, majestatycznie. Gruby ludek jest w rozpaczy, czyta pilnie anonsy o środkach wyszczuplających, łyka różne pigułki, moknie w specjalnych kąpielach, znosi tortury opasek, gorsetów i dalej — nic nie je.

A przynajmniej święcie w to wierzy, że nic nie je, i nawet przez myśl nikomu z nich nie przyjdzie zastanowić się nad rodzajem odżywiania się, nad właściwą dietą, jej jakością i ilością.

Bo i jakże przedstawia się w rzeczywistości wikt takiej nic nie jedzącej pani, skonsumowany w pogodzie ducha w ciągu dnia?

Jedna z nich, wypytana przeze mnie szczegółowo — ale i podstępnie trochę, przyznaję — zwierzyła mi takie skromne ilości:

Pierwsze śniadanie: dwie filiżanki kawy, trzy bułeczki z masłem i odrobinka miodu, bo to na cerę i nerwy dobrze robi. — A kawa, zapytuję, czy również dobrze działa na nerwy i cerę? — E, taka niebardzo ciemna nie może szkodzić przecież, broni się z przymilnym uśmiechem grubaska.

Drugie śniadanie: czasem bułka z szynką, herbata, kawałek sera, albo jaja, chleb z masłem, konfitury — cukier jest bardzo zalecany teraz i wywiera dobroczynny wpływ na cały organizm — czasem coś odgrzanego z ubiegłego dnia, mięso, kartofelki, kaszka.

Obiad: prawie bez zupy, tylko kilka łyżek dla kontroli co rodzina je; mięso pieczone, duszone lub gotowane i zależnie od dania jarzyny, sałaty, kompot, kluseczki, kaszka; słodka legumina. Dwie lub trzy kromeczki chleba z masłem między zupą a mięsem; zamiast przystawki.

Podwieczorek: kawa, czasem herbata, chleb albo bułka z masłem, coś słodkiego, np. kawałek leguminki z obiadu, ciastka domowej roboty. Nieraz dla odmiany kakao lub czekolada. — Na wodzie? — Ach, nie, na mleku, z jajem. Przecież na wodzie jest zupełnie bez smaku.

Kolacja: ciepłe albo zimne mięso z jarzyną lub kaszą, z sałatą — zależnie od pory roku. Albo jakaś mączna potrawa, np. łazanki z szynką, czasem risotto, albo kotleciki kartoflane z sosem. Herbata, chleb z masłem, suche ciastka na zakończenie.

— Mleka nigdy Pani nie pija, ani piwa lub wogóle alkoholu? Owoców Pani nie jada?

— Ależ to się nie liczy przecież, bo z owoców nie tyje się i zresztą witaminy są niezbędne dla zdrowia. Trochę mleka słodkiego lub kwaśnego jeszcze nikomu nie zaszkodziło, ani piwo raz wczas — bo nie codzień. O alkoholu mowy niema, jestem jego zdecydowaną przeciwniczką, ale kieliszek wina, likieru lub wódki można chyba stosować jako poprostu apéritif. Człowiek nawet razi w towarzystwie, jeśli nie umie lub wzbrania się napić odrobiny.

— A czy Pani nie słyszała o tem, że od alkoholu ciało obrzmiewa, tyje, a sprawność fizyczna i umysłowa słabnie?

— Ależ to niemożliwe! Znałam tylu mężczyzn silnych i mądrych, którzy pili.

Czy nie rozbrajające?

Te dziecięco-naiwne pojęcia o diecie dla tęgich, o ilościach jedzenia niezbędnego dla organizmu, o wpływie alkoholu na ustrój ludzki, o tem co szkodzi lub sprzyja zdrowiu.

Jak i czem przekonać dojrzałą kobietę, która zasklepiła się w pojęciach, może już w domu rodzinnym nabytych, niekontrolowanych w porównaniu z wiadomościami z zakresu dietetyki i higjeny. Ma przecież do dyspozycji liczne wydawnictwa popularne, wykłady, audycje w radjo i czasem nawet z nich korzysta, czasem coś kupi i pobieżnie przerzuci — ale stosować się do tych wskazówek? To wszystko takie niewygodne, takie uciążliwe, dobre chyba w jakimś zakładzie leczniczym.

Trudno z tem walczyć, jeżeli nawet argument o utracie urody nie pomaga. Ale chyba rozlane rysy i kształty nie mogą mieć pretensyj do piękności?

Lecz może przecież w jej imię, albo w obawie zatracenia jej bezpowrotnie zechcą miłe grubaski przeczytać do końca mój artykulik, taki dla nich nieznośny, niewygodny, dokuczliwy.

Wszystkie kuracje ochudzające są połączone z odmawianiem sobie wielu rzeczy i dlatego rzadko kiedy dobiegają do końca. Zastrzyki lub zażywanie jakichś środków do wewnątrz musi się odbywać pod kontrolą lekarza. A gdy po pomyślnym wyniku kuracji następuje powrót do dawnej diety, a przytem coś w rodzaju powetowania sobie za krótki okres opanowania apetytu — tusza pojawia się znowu w całym swym rozlewnym i bujnym rozkwicie.

Poco w takich warunkach zaczynać?

Są bowiem tylko dwa rozwiązania problemu smukłości:

albo zrezygnować z ulubionych potraw, spożywanych w ilościach dowolnych —

albo zrezygnować wogóle z marzeń o smukłej sylwetce.

Istnieje pewna ciekawa książka p. t.: „Magja piękności", Józefa Jankowskiego, wydana tuż przed wojną, prawie nieznana, a przez te nieliczne panie, które ją czytały, najzupełniej niedoceniana. W kilkunastu listach opowiada autor swojej przyjaciółce o tajemnicach zdobycia urody, zapobiegania zmarszczkom i t. p. Zajmujący byłby dla moich grubasek list o odżywianiu, w którym opisuje obiad spożyty w jego obecności przez dwoje ludzi: jedno opanowane w jedzeniu, drugie niepohamowanie przeładowujące swój żołądek. Są w tym liście słowa, które mi do dziś pozostały w pamięci:

„Być piękną, znaczy umniejszać sobie".

Bo smukłość należy nietylko do dzisiejszych pojęć o piękności, do mody, lecz jest warunkiem zdrowia, młodości, oraz sprawności fizycznej i umysłowej.

(C. d. n.) EFEB

PARADA RAKIET



Polskie mistrzynie rakiety (od lewej): Jędrzejowska, Dubieńska, Volkmerówna, Rudawska

OPUSTOSZAŁY, jakże rojne w ciągu kilkunastu dni trybuny i korty L.K.T. przy ulicy Pełczyńskiej. Umilkły okrzyki dopingujące zawodników, nie słychać prawdziwych burz oklasków, wynagradzających piękną grę. Tennisowe mistrzostwa Polski są już za nami!

Rzecz oczywista, że interesować się będziemy specjalnie grą pojedyńczą i podwójną pań. Nadmienić jednak należy, że mistrzostwo Polski w grze pojedyńczej przypadło po raz drugi Tłoczyńskiemu (Legja, Warszawa), w grze podwójnej zaś braciom Stolarow (Ł. K. T., Łódź).

Trzeba przyznać, że tegoroczne mistrzostwa Polski zebrały naprawdę elitę graczy z całej Polski, to też mistrzostwa Polski przemieniły się raczej w paradę najświetniejszych rakiet. Dowiodły one zarazem, że „biały sport" jest we Lwowie bardzo popularny; sprawdzianami tego były tak znaczna ilość zawodników biorących udział w rozgrywkach, jak i tłumy publiczności (dochodzące w czasie gier finałowych do 2.000 osób).

Ujrzeliśmy we Lwowie przekonywająco świetną Jadzię Jędrzejowską z Krakowa, doskonałą Volkmerówną z Katowic, rutynowaną Dubieńską z Warszawy, rewelację mistrzostw Rudawską z Bydgoszczy, Pozoską i Boniecką z Krakowa, wreszcie Wełeszczukową i Orzechowską ze Lwowa, oraz szereg młodych, wielce obiecujących talentów, dających gwarancję świetnemu rozwojowi tenisu w Polsce.

Zwycięski tytuł mistrzyni Polski przypadł po raz trzeci Jędrzejowskiej, po pokonaniu w finale Volkmerówny (6:2, 6:1). Podobny wynik był do przewidzenia. Starty Jędrzejowskiej na turniejach w Berlinie, Hamburgu, Paryżu i Wimbledonie pozwalały nam z całym spokojem to przewidywać. Zresztą dotąd w Polsce nie mieliśmy tenisistki, którąby miała równe Jędrzejowskiej zagrania i podobnie błyskawiczną orjentację. Wszystko to połączone z międzynarodową rutyną dało jej przewagę nad przeciwniczkami.

Natomiast wielką niespodziankę sprawiła Volkmerówna, plasując się na drugiem, za Jędrzejowską miejscu. Od kilku lat tytuł vice-mistrzyni przypadał w udziale kilkakrotnej mistrzyni Polski Dubieńskiej. Niespodziewanie tytuł ten „wymknął się" Dubieńskiej dzięki przegranej z Volkmerówną w stosunku 6:1, 1:6, 6:3.

Rewelacją turnieju do pewnego stopnia była Rudawska z Bydgoszczy, której dojście do pół-finału było ogólną niespodzianką. Słabo dosyć wypadł start lwowskich pań w osobach Wełeszczukowej (pokonanej przez Volkmerówną), Orzechowskiej, Bystrzonowskich S. i J. i in.

W finale gry podwójnej pań zatriumfowała para Jędrzejowska-Dubieńska nad Volkmerówną-Rudawską.

Ogółem w rozgrywkach brało udział około 30 pań, co jak na nasze stosunki i kryzys ekonomiczny dający się również we znaki sportowcom — było bardzo dużo.

Wynikiem turnieju będzie niewątpliwie jeszcze większe spopularyzowanie tego przepięknego sportu we Lwowie i naszej dzielnicy.

J. RADZIMIŃSKI

PLOTECZKI O MODZIE

Najgłówniejszy, zasadniczy nakaz mody obecnej, od którego przedewszystkiem zależeć będzie nasz wygląd dzisiejszy a nie wczorajszy, brzmi: nie bój się być sobą, nie lękaj się własnych pomysłów, fantazji osobistej.

Każdą szarfę, szalik, pasek związać i nosić można po swojemu, a niekoniecznie wiernie tak, jak nam dyktuje jakiś model. Do wszystkich drobiazgów i uzupełnień toalet wnieść trzeba nutę osobistą, swoje własne upodobania, lekkość i wdzięk. Jedna i ta sama rzecz, noszona przez dwie osoby, może, a i powinna nawet, robić odmienne wrażenie.

Wiem zgóry, że spotkam się z niedowierzającym uśmieszkiem tych wszystkich pań, które nie rozumieją co to za dziwoląg jest ta „sztuka ubierania się". Kupują modne rzeczy, gotowe, albo na zamówienie wykonane i bezkrytycznie je noszą, bo wszystko musi być przecież dobre, skoro modne. Otóż modne może być, owszem, ale czyż każdy modny model sukni, kapelusza, płaszcza musi być każdej z pań do twarzy? Czy króciutkie po kolanka i wąskie sukieneczki z przed dwóch lat były odpowiednie dla niemłodych — przepraszam, takich niema, są tylko dojrzałe — więc dla dojrzałych i tęgich kobiet? Wyglądały w nich przecież karykaturalnie — ale nosiły je, bo modne. Ludzie zaśmiewali się do łez na ich widok, pisma humorystyczne przepełnione były takiemi komicznemi sylwetkami, które wołały do tych pań o litość z ilustrowanych kart, o krztę bodaj samokrytycyzmu — ale wszystko na nic. — Ośmieszały się z uporem manjaka, wprost nie siebie widziały w lustrze, ale jakąś wymarzoną postać. W owym czasie udała się któremuś z zagranicznych rysowników wspaniała karykatura, no, poprostu zachwycająco-rozkoszna: przed dużem lustrem stoi dama ważąca już co najmniej 80 kg, wystrojona w króciuteńką i wąziutką balową toaletę. Ramiona jak uda, dekoltaż impertynencko okazały, grożący lada chwila wylewem. A cóż widzi dama w lustrze? Nie wierne odbicie siebie, lecz jakąś wiotką ponętną anielicę, do której uśmiecha się z błogiem zadowoleniem. Podpis pod rysunkiem: Jak ona siebie widzi...

Otóż panie, które w swoich zakupach uwzględniają tylko to, co modne, należą do tych, które nigdy nie będą dobrze ubrane. I zawsze będą siebie inaczej widziały: czy jako model żurnalowy, czy jako kopję którejś ze znajomych, noszących zbliżone fasony. Na wzór owej damy z lustrem.

A dzisiejsza moda kryje te same możliwości ośmieszające, co miniona krótka.

W czem?

Na pierwszy strzał idą kapelusze. To chyba jasne!

Maluteńkie czupiradełka, na czubku głowy umieszczone, albo przez pół głowy nałożone na oko, śmieszniutko przybrane, czasem z piórem strusiem dwukrotnie większem od całego kapelusza, czasem z jakimś ptaszkiem zastraszonym, gdzie to go los posadził? Inny znów minjaturowy kapeluszyk nałożony nabakier, odsłaniający połowę fryzury (biada paniom, które nie mają trwałej ondulacji), dziwi się, że jeszcze nie spadł i trzyma się kurczowo kilku fal włosów.

Wyobraźmy sobie taki kapeluszyk zawieszony nad kwadratowem obliczem, albo nad nosem z charakterem, lub z okularami?

Wśród modnych rokokowych cacek lub fasoników cesarzowej Eugenji, wśród minjaturowych trójkącików znajdziemy przy dobrej woli i takie modele, które odpowiednio ubiorą każdą głowę wymagającą innego kształtu kapelusza, aniżeli owe zabawne drobiazgi. A i nawet nikt jeszcze nie wie, czy się utrzymają. Bo przecież dużo do nich dostosowywać trzeba, gdyż niedobrze godzą się z dotychczasową garderobą.

Po kapeluszach wyłania się kwestja sukien, staników i okryć obcisłych w pasie. Mniejsza o to, krój czy pasek obciska — ale kogo, jaką talję, nad jakiemi biodrami, pod jakim biustem?

Przewiduję i tu różne nieporozumienia i tragiczno-komiczne pomyłki.

Model w żurnalu śliczny i obciskający ponętnie. A więc brać go. Polecić krawczyni wykonać i nie liczyć się z jej dyskretnem wahaniem, odradzaniem. Krawczyni dobra, zepsuć nie może, model czarujący, wszystko więc musi wypaść pierwszorzędnie. I wypadnie — byle go właśnie ta, która zamawia, nosiła.

Albo kupno gotowych rzeczy. Sprzedający potrafią wszystko wmówić w klientkę, zachwalić, udać podziw i zachwyt, zasugerować ofiarę, byle się im tylko nie wymknęła. Jeśli kupująca nie wie czego chce, albo nie umie oprzeć się namowom, rezultat bywa smętny. Czasem opamięta się w domu i rozpacza nad kupnem — czasem nosi z zadowoleniem rzeczy niewłaściwe i nic nie mąci pogody jej ducha.

Obecna moda, jak żadna z poprzednich, nie znosi obojętności oczu. Chce zmusić kobiety do rozróżniania, do wypowiadania się indywidualnego. Chce je nauczyć bystro patrzeć na siebie; w tym celu stworzyła najnieprawdopodobniejsze kontrasty w modelach, zapożyczyła się u kilku stylów i woła: wybieraj. Zobaczymy, co wybierzesz.

Z prawem wyboru zjawia się odpowiedzialność osobista. Źle wybrane — twoja wina; ani mody, wobec różnorodności modeli, ani krawczyni, ani sprzedających.

Obecna moda zachęca — o ile wprost nie wymaga — do współpracy nad konstrukcją modela, do współtwórczości z krawczynią.

Każdy ze szczegółów uzupełniających musi być po swojemu urobiony. Po swojemu kokardka związana, chusteczka narzucona, łałdy szala upięte, kapelusz nagięty indywidualnie i włożony raz tak, raz inaczej, po swojemu wpięta agrafa, broszka, umieszczony kwiat. Znam kobiety, które muszą przy wszystkiem robić poprawki, zmiany. Przy najpiękniejszych, najdroższych modelach. Nie żeby coś było złe lub niewłaściwe — ale coś tam było im obce, wydawało się, że nie harmonizuje ani z niemi, ani z całością. Dopiero kilka nieznacznych prawie gestów, jakiś szczególik usunięty lub przemieszczony, jakiś fałd rozluźniony lub przytrzymany, jakieś

spięcie dodane albo ujęte — i zaraz powstaje coś „po swojemu". Coś nie do kupienia, ani do naśladowania. Do wyczucia, do wysnucia z siebie. I to jest właśnie owa sztuka ubierania się.

Rzecz trudna — i łatwa. Trudna, gdy się w nią wdrażać trzeba, trudzić przy próbach. Łatwa, gdy siedzi w nas i ciągle upomina: przefasonuj po swojemu; wtedy fantazja, inicjatywa i zwinność podają sobie zgodnie ręce, a nuta osobista stworzona.

Dlatego tyle się rozpisałam na ten temat, bo nowy sezon rozpoczęty, myśl krąży około zakupów i przeróbek, a bez zrozumienia istoty dzisiejszej mody mogą się zdarzyć sprawunki i pomysły poronione.

W każdej modzie, w strojnej i fantazyjnej również, możemy odkryć modele skromne, szlachetne, spokojne w linji, co nie znaczy, by nie mogły być jednocześnie ponętne a nawet kokieteryjne. Wszak obowiązkiem każdej kobiety jest robić wrażenie jak najwdzięczniejsze, co — poza zaletami psychicznemi — w dużej mierze zależy od ubrania. Zdaje się, że się w tem wszystkie jednomyślnie zgadzamy?

Ogarnia mnie naraz skrucha, że tyle się „nagadałam" na temat, który mi prawdziwie leży na sercu, a leżeć powinien i wszystkim moim Czytelniczkom, a za to zaniedbałam ploteczek.



Powiem więc cośniecoś o przybraniach futrzanych, bo o tych wcześnie myśleć trzeba, wymaga ich bowiem garderoba przejściowa.

Pojawiło się dużo kołnierzy oddzielnych — t. j. nie przyszytych na stałe, lecz noszonych osobno.

Moda lisów — trwa, wśród nich zaś srebrny lis króluje.

Gronostaj — w łaskach. Przy dziennych toaletach zaznacza się dyskretnie, przy wieczorowych występuje wspanialej. Oprócz białego, farbowany na popielaty, beige i czarny.

Szał na futerka strzyżone — przygasł nieco.

Futerka płaskie, bouclées — zupełnie znikną z modnego horyzontu.

Astrachan — będzie gęściejszy, włos dłuższy i mniej karbowany.

Selskin — ma zapowiedziane wybitne powodzenie nietylko na przybrania, ale na bolerka z rękawami, żakieciki krótkie i płaszcze.

Długie, szerokie szale futrzane — zostały z zapałem przyjęte.

Krawaty futrzane — krótkie i wąskie lub też szerokie są dużo noszone. Ładnie przybierają kostjumy i suknie, a że są praktyczne ze względu na cenę, więc jest na nie duży popyt. Wiąże się je na kokardę pod brodą lub z boku, albo tylko przewija końce. Można je łatwo wykonać w domu, wykroić z jakiegoś podniszczonego futerka i świeżo podszyć. Mamy zawsze w domu jakieś znoszone kołnierze, mankiety i t. p., z któremi nie wiemy, co począć. Szyjmy więc krawaty; a jak należy krajać i zszywać futra, znajdą panie świetne wskazówki i rysunki w IV Almanachu „Świata Kobiecego" p. t. Kuśnierstwo domowe.

Perski baranek — w kombinacji białego z czarnym ślicznie wygląda.

Pelerynki razem z długim szalem — należą do rozchwytywanych nowości; model z astrachanu bronzowego niezwykle wdzięczne robił wrażenie.

Wysokie mankiety futrzane — utrzymały się i w tym sezonie.



Krótkie lub półdługie żakieciki futrzane — zajmują ważne miejsce w modzie futrzanej. Są albo całe z futerka, albo w połączeniu z wełną. Widziałam np. taką całość: żakiecik z selskinu, sięgający do pasa, baskinka z gładkiej czarnej wełny, z której i spódniczka była wykonana. Inny model cały z czarnej wełny, to znaczy żakiet i spódniczka, a na żakiet włożone krótkie do pasa bolerko z rękawami, z selskinu. Na takie żakieciki używamy futerek krótkowłosych, miękkich jak wełna. Nosi się je tak dobrze do spódniczek, jak do całych sukien. Ślicznie wyglądał model z breitschwantzu z paskiem i szalikiem miękko przewiniętym, z pod którego wyglądała biała bluzeczka. Biały filc i białe półdługie rękawiczki łączyły się w całość bajecznie szykowną. Inny znów model cały z czarnej wełny. Spódniczka i górna część żakietu do pasa, razem z rękawami wełniana; część od pasa wdół i mankiety aż do łokcia z karakułów. Albo żakiecik z bibretów silnie zbluzowany, odcinany w pasie, z gładką baskinką. Pasek zamszowy do tonu, spódniczka z bronzowej wełny, partjami układana w fałdy. Malutki trójkącik z bibretów, włożony nabakier; bluzeczka i rękawiczki w kolorze szampańskim.

Na zakończenie dzisiejszego sprawozdania rozpatrzmy kwestję palącą: drogiej, luksusowej mody.

Z wszystkich stron słychać westchnienia i lamenty nad zbytkiem, jaki wkradł się do garderoby kobiecej właśnie w najkrytyczniejszym okresie finansowym, który nietylko Polskę dotyka, ale cały świat gnębi.

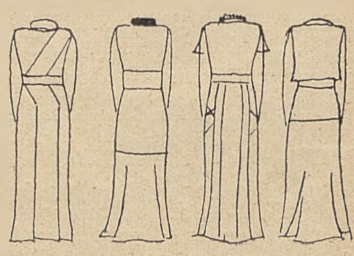
Drogie Czytelniczki, wierzcie mi, moda będzie kosztowna tylko dla tych kobiet, które tego same chcą. Moda, która kryje tyle możliwości, jak już poprzednio mówiłam, pozwoli Wam wybrać rzeczy piękne a niekosztowne. Nie chciejcie tylko modeli przeznaczonych na jednorazowy użytek dla gwiazd ekranu, nie wymagajcie, w skromnych warunkach w jakich żyjecie, drogocennych futer, całej kolekcji kapeluszy, torebek i innych istotnie rujnujących drobiazgów. Tyle już pisałam o roztropnem i celowem sprawianiu garderoby, o wdzięku jaki emanuje z prostoty. Wszak naszem głównem zapotrzebowaniem są rzeczy na codzień, na ulicę, do pracy, na miłą wizytkę. Modele, które nigdy nie trącą ekstrawagancją, a których urok polega na prostej szlachetnej linji, dobrze dobranym kolorze, świeżutkiem wykończeniu u szyi. Kompletujcie barwy tak, ażeby uzupełnienia jednych modeli były możliwe w zastosowaniu do drugich: kapelusze, torebki, pantofelki, przybrania futrzane. Te ostatnie, do noszenia oddzielnie, jakże praktyczne, jak oszczędne, bo do noszenia z każdą suknią, z każdem okryciem. Pozbądźcie się lenistwa myśli, utrudźcie się trochę nad decyzją, a przepłoszycie widmo kosztowności mody.



CAILLER-SOBAŃSKA



SUKNIE PŁASZCZYKOWE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH



124 Suknia z zielonej wełny, ozdobiona ukośnemi szwami i stebnem. Przybranie z futerka, pasek i guziki w kolorze ciemno-bronzowym.

125 Suknia z popielatego sukienka, z selskinowym kołnierzem związanym pod szyją. Szeroki pas z czarnej skóry, guziki popielate z czarnemi środkami.

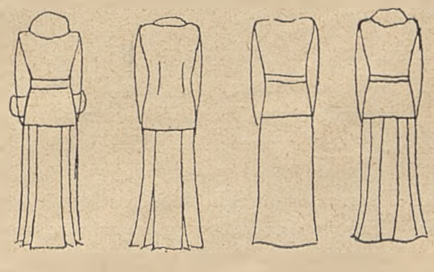
126 Czarna aksamitna suknia z ciekawem zapięciem z przodu. Guziki, rękawiczki i futerko przy szyi w kolorze sobolowym. Po obu bokach spódniczki kieszenie.

127 Suknia z czarnej, miękkiej wełny, z pięknie zaciętą spódniczką. Oryginalny kołnierz i rękawy przybrane gronostajem.

JESIENNE KOSTJUMY Z WYROBÓW KRAJOWYCH



128 Kostjum z angielskiego materjału w kolorze jasno-bronzowym, przybranie z bibretów.
129 Kostjum angielski czarny, kołnierz karakułowy.
130 Kostjum z popielatego angielskiego materjału. Żakiet bez kołnierza — do lisa.
131 Kostjum fantazyjny z czarnego aksamitu. Duży wolantowy kołnierz z szynszyli, albo z gronostajów. Może być również każde inne futerko w kolorze srebrzysto-popielatym lub białym.



PŁASZCZE POPOŁUDNIOWE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH





132 Płaszcz wcinany w pasie, dołem lekko rozszerzony. Kołnierz z popielic lub gronostajów, rękawy wykończone stebnem.

133 Płaszcz z jasnej, miękkiej wełny, nieznacznie skloszowany dołem, bogato przybrany futrem.

134 Płaszcz z orzechowej dywetyny, wysokie mankiety i wdzięczny kołnierz z selskinu.

135 Czarny aksamitny płaszcz przylegający w pasie, zapięty na trzy guziki. Kołnierz i mankiety z popielatego futerka.

SKROMNE SUKNIE POPOŁUDNIOWE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH

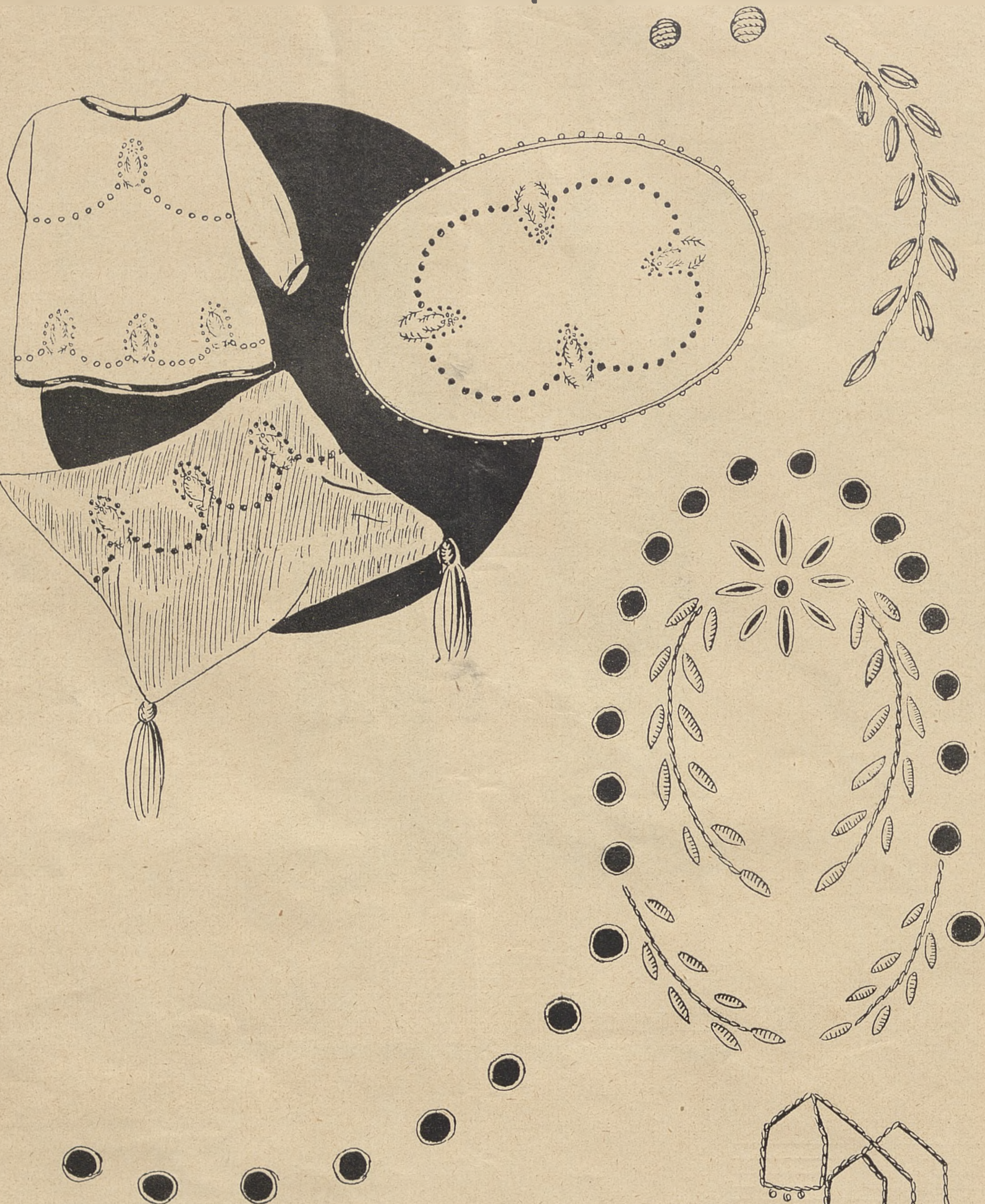


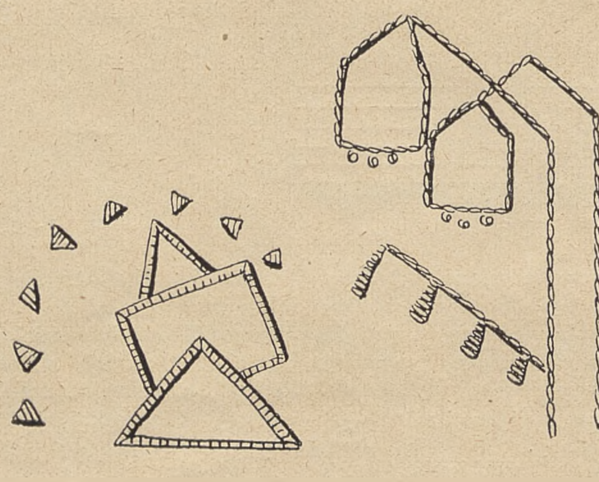
136 Bronzowa suknia z wełnianej żorżety, z miękko falującym żabotem. Na rękawach efekt pelerynkowy.

137 Suknia z czarnego rypsu jedwabnego. Z przodu spódniczki dwa wstawiane kontrafałdy; kołnierz, przodziki i mankiety z żorżety wykończonej nikłemi zakładeczkami. Kolor żorżety może być biały, piaskowy, bledziutko różowy, kremowy.

138 Suknia z czarnego marocain, z pięknym wyłogiem po jednej stronie. Przy szyi biała orchidea, guziczki kryształowe, rękawki podwójne.

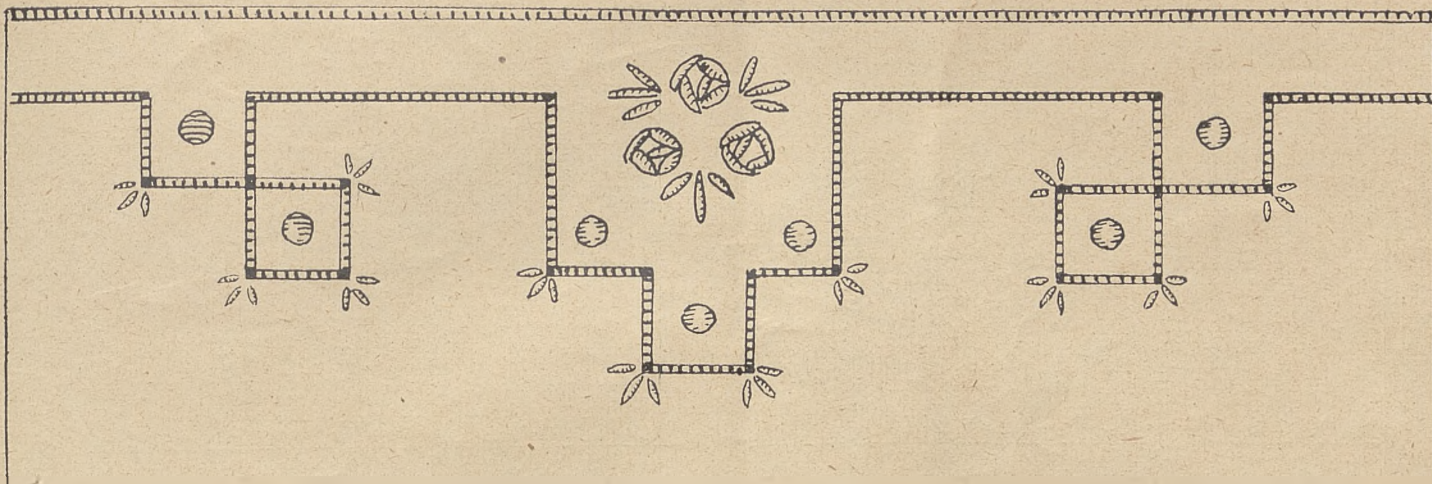
139 Piaskowa suknia z grubej krepy chińskiej lub innej matowej. Krój jednolity, w pasie wdzięcznie zacięty poniżej zbluzowania. Fałdy z przodu wstawiane. Rękawy z bufką i kokardką przy łokciu; kołnierz stanowi misternie upięta chusteczka.

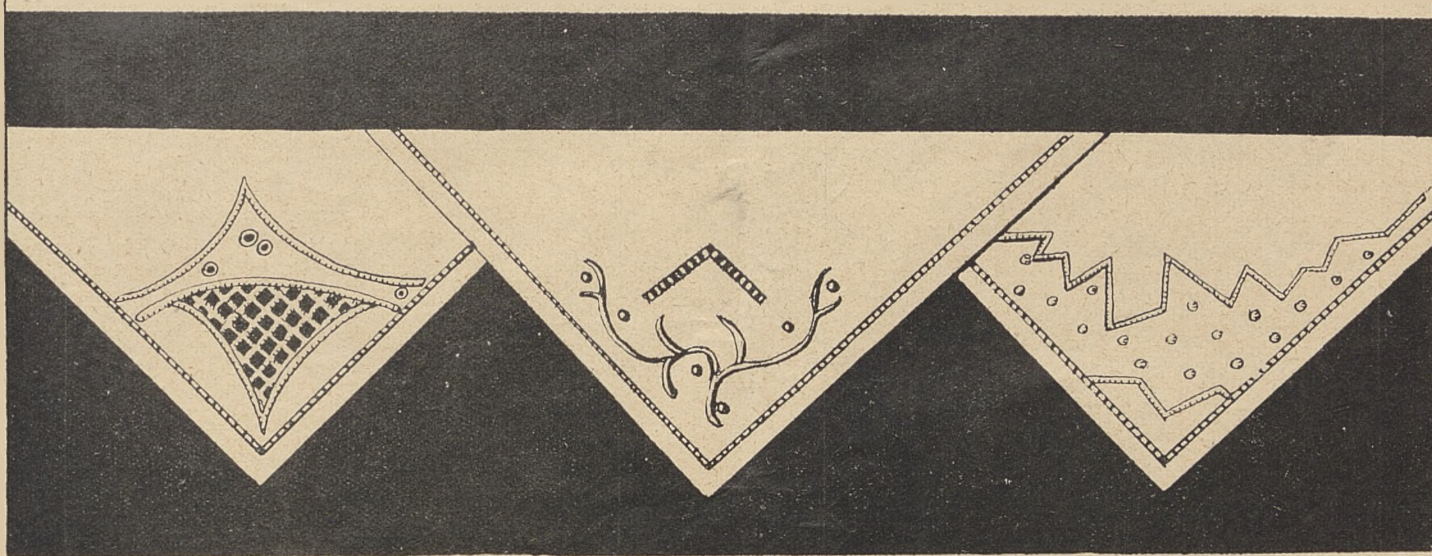




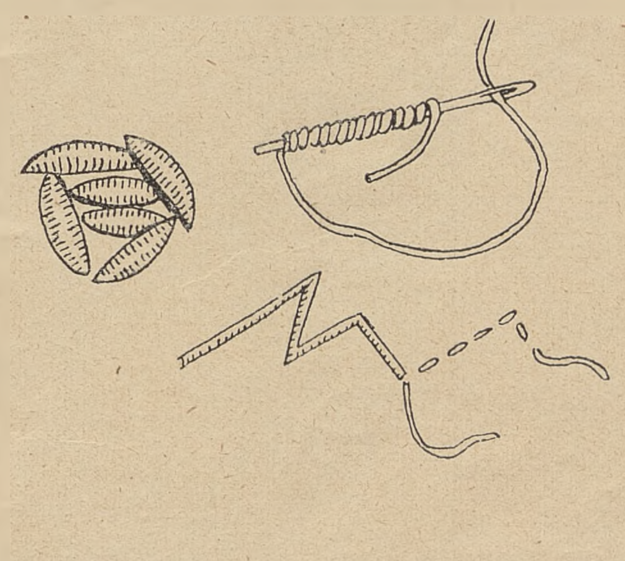
Ryc. 45. — MOTYW DO OZDOBIENIA SERWETKI, sukienki, poduszki i t. p., wykonany haftem angielskim albo płaskim, chwytanym i pocztowym. Brzeg serwetki wykończony dzierganiem z pikocikami.

Ryc. 46. — DWA MAŁE MOTYWY do ozdobienia sukienek, bielizny i t. p.





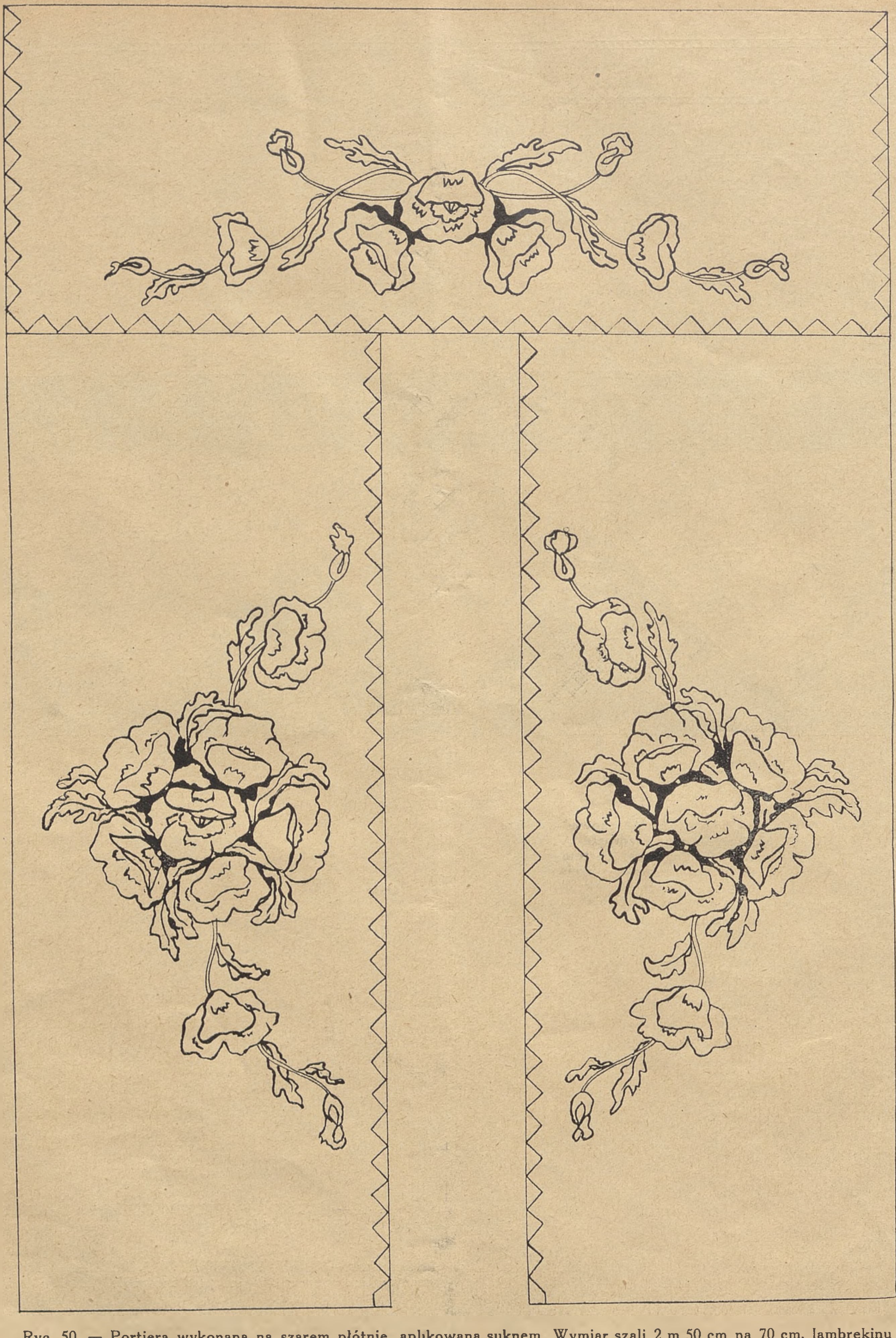




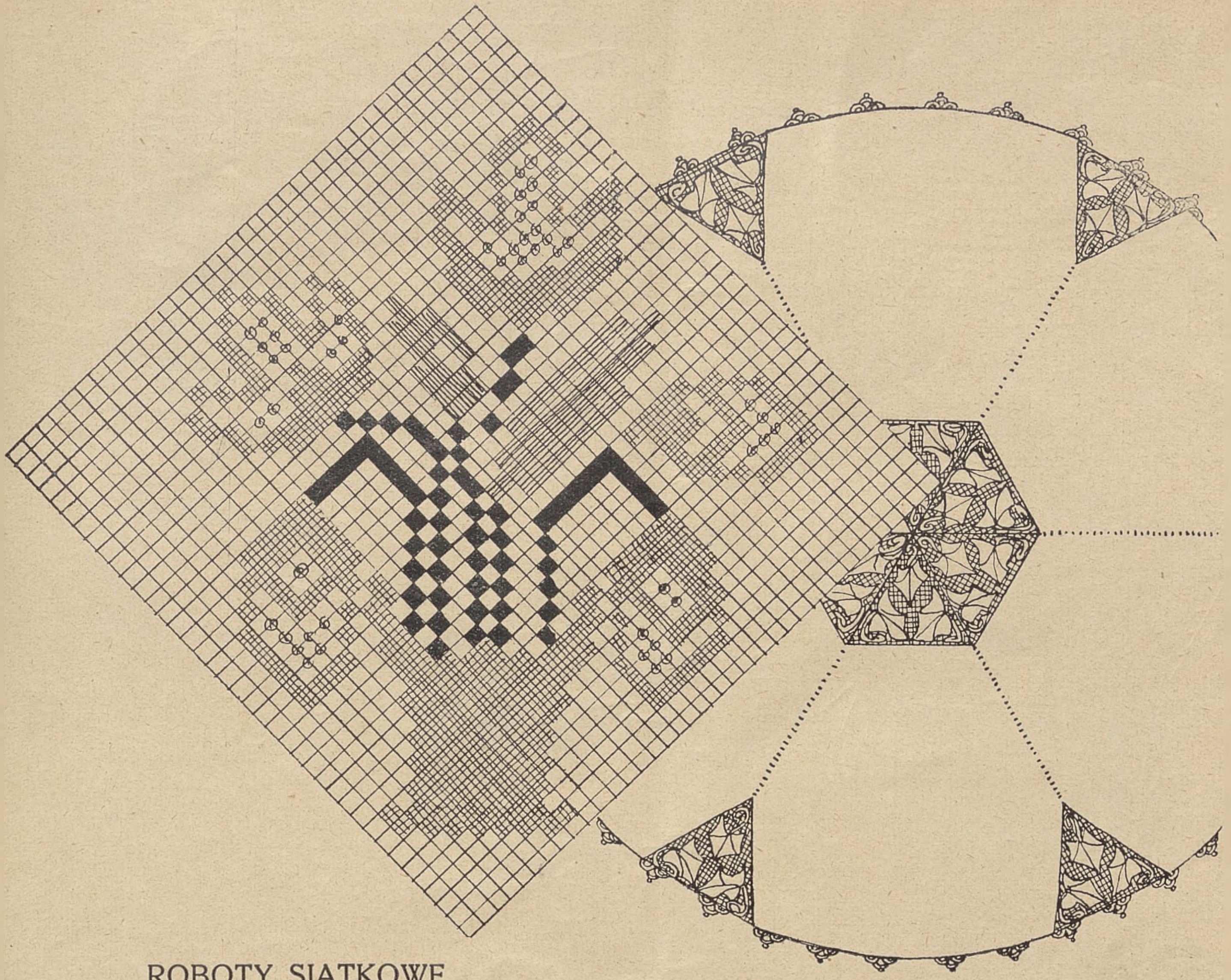
Ryc. 47. — MOTYW HAFTU DO KOSZULI. Mereżka, haft płaski oraz nawijany, którego wykonanie widoczne na rysunku.

Ryc. 48. — TRZY CHUSTECZKI DO NOSA z mereżką oraz haftem sznureczkowym, płaskim, angielskim i Toledo.

Ryc. 49. — ZAZDROSTKA z motywem siatkowym i mereżką.



Ryc. 50. — Portjera wykonana na szarem płótnie, aplikowana suknem. Wymiar szali 2 m 50 cm na 70 cm, lambrekinu 1 m 60 cm na 70 cm. Aplikacja suknem: maki jasno i ciemno-czerwonem i popielatem, ząbki — szafirowem, środek — jasno-zielonem.

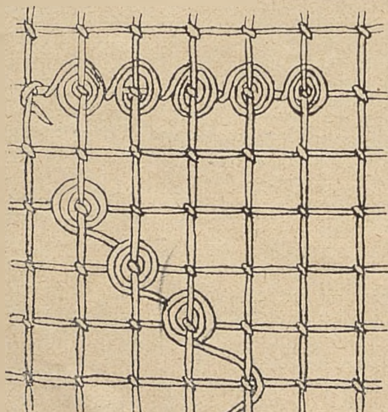


ROBOTY SIATKOWE

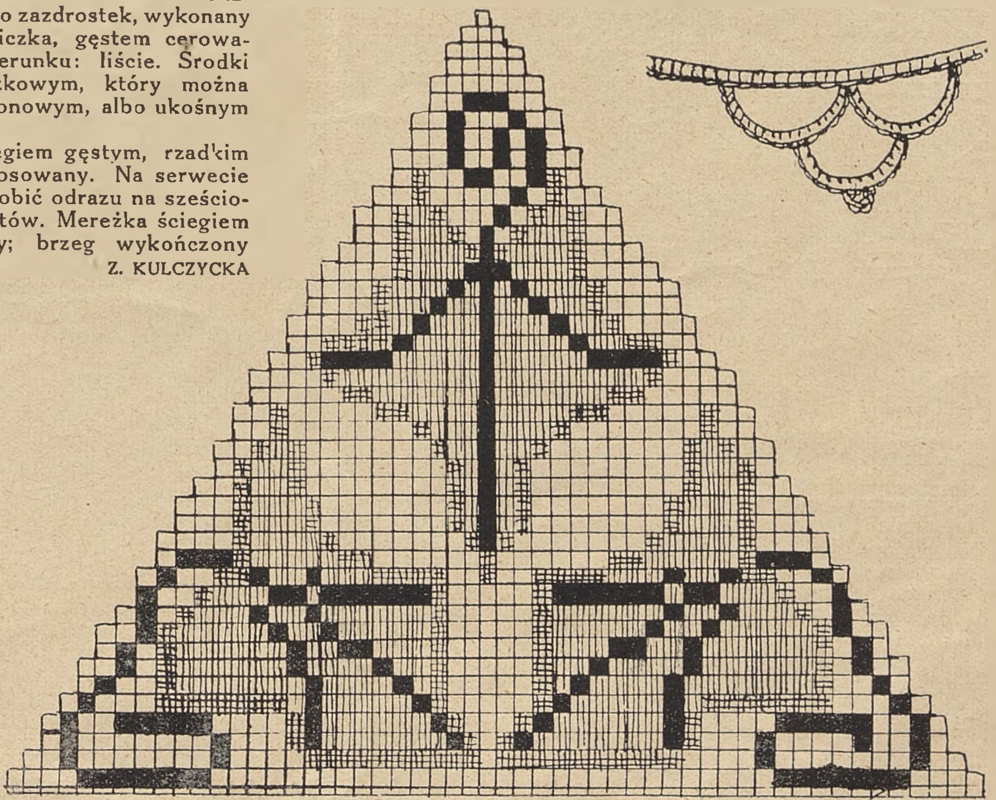
Motyw kwadratowy, który można zastosować do bielizny pościelowej, stołowej, do firanek i do zazdrostek, wykonany cerowaniem płóciennem: kwiaty i doniczka, gęstem cerowaniem: łodygi, rzadkiem w jednym kierunku: liście. Środki kwiatów wypełnione ściegiem ślimaczkowym, który można wykonywać w kierunku poziomym, pionowym, albo ukośnym (ob. ryc. 33).

Motyw trójkątny, cerowany ściegiem gęstym, rzadkim i płóciennym, może być rozmaicie zastosowany. Na serwecie można środek połączony z 6 motywów robić odrazu na sześciokącie, nie krając poszczególnych trójkątów. Mereżka ściegiem tureckim, albo Toledo, łączy motywy; brzeg wykończony dzierganiem i szytemi ząbkami.

Z. KULCZYCKA



33.



KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO



Oryginalny szwedzki wzór, nietrudny do wykonania, da się zastosować na swetery, sukienki i ubranka dziecięce oraz na szale, chustki i poduszki. Wykonywa się go pasami.

Każdy pas zaczyna się oczkami w powietrzu, których łańcuszek powinien mieć długość, wzgl. szerokość części, którą się robi. Pierwszy rząd: 5 słupków w trzecie oczko od końca, 1 ścisłe oczko w następne trzecie oczko i t. d. do końca rzędu (ryc. 90a). Drugi rząd: na końcu łańcuszka zrobić 11 słupków w jedno oczko, następnie 1 ścisłe oczko nad ścisłem oczkiem poprzedniego rzędu i t. d. jak pierwszy rząd (ryc. b).

Po skończeniu całego pasa bierzemy włóczkę innego koloru i robimy same ścisłe oczka, wkłuwając dwa razy w kółko poprzedniego rzędu, a raz w oczko, w które zrobiono ścisłe oczka poprzednich rzędów. Te ścisłe oczka należy luźno robić, żeby nie ściągać roboty. Ścisłe oczka przedziela się zawsze 1 oczkiem w powietrzu (ryc. c). Rzecz jasna, że taki sam rząd robi się także po drugiej stronie pasa.

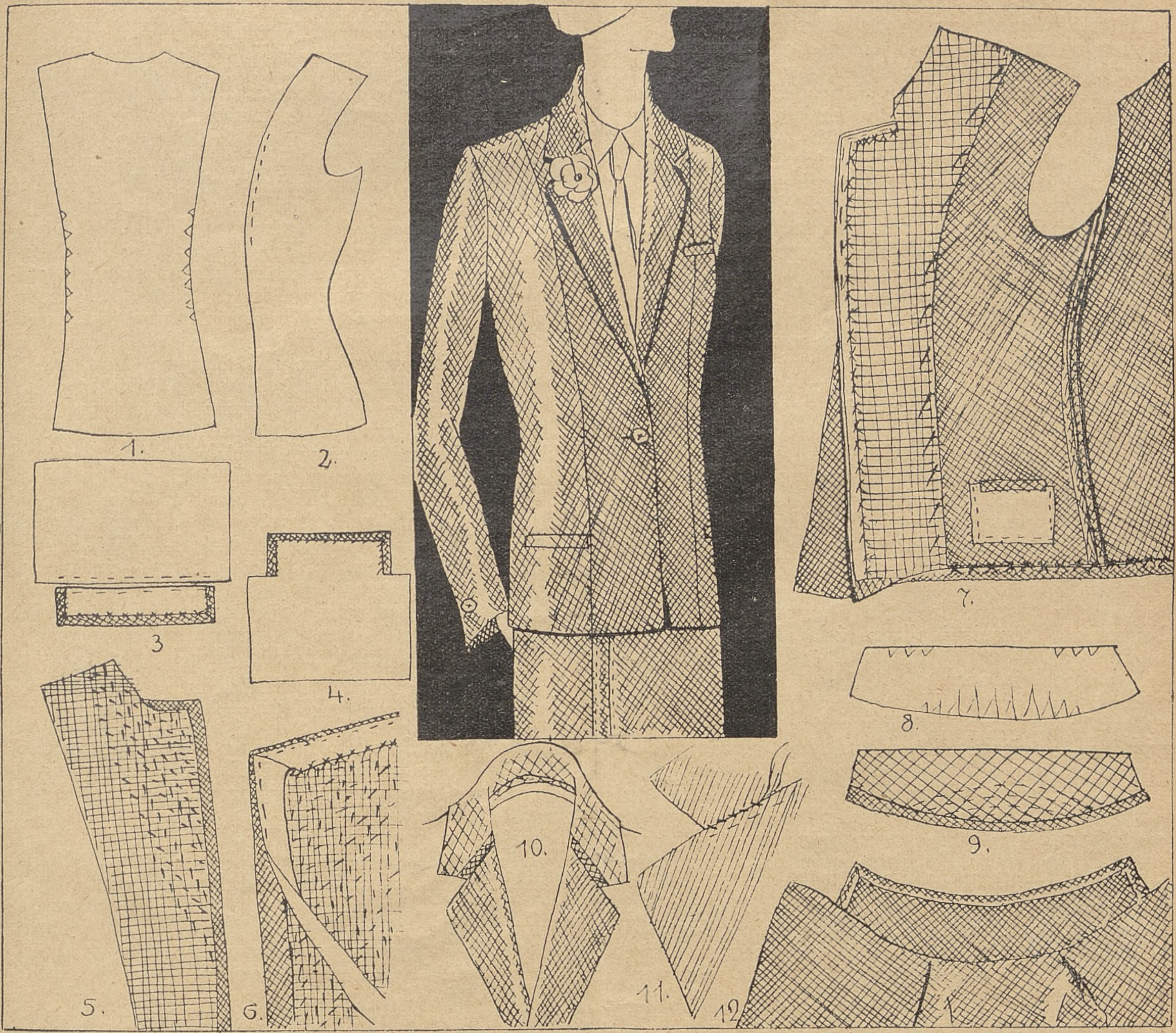
Następny rząd składa się znowu z samych ścisłych oczek, których robimy po dwa pod każde oczko w powietrzu poprzedniego rzędu (ryc. d).

Gdy wyszydełkujemy już dosyć pasów przeznaczonych na jedną część, łączymy je innym kolorem, robiąc ścisłe oczka raz w brzeg jednego, to w brzeg drugiego pasa (ryc. e).

Pasy możemy rozmaicie zestawiać, bądź poprzecznie, bądź też podłużnie. Po lewej stronie przedstawiamy dżemper, który ma rodzaj karczka z samych słupków, dolna część zaś zestawiona z pasów poprzecznych. Robimy wszystkie części podług kroju podanego powyżej Kołnierzyk, to prosty kawałek, długości 36 cm, a szerokości 12 cm. Rozporek dżempra wykończony ścisłemi oczkami. Krawat i pasek w jednym z kolorów włóczki. Drugi dżemper zapięty zboku pod szalikiem.

Jeśli dżemper jest przeznaczony do sportu zimowego, robimy go w żywych kolorach, na dżemper codzienny wybierzemy kolory stonowane. Od umiejętnego doboru kolorów zależy efektowny wygląd całości.

Do dżemprów można dorobić stosowne berety. Z. KULCZYCKA



WYPRACOWANIE KOSTJUMU ANGIELSKIEGO

Już przed zeszyciem szwów wymaga kostjum angielski zabiegu, który jest zbyteczny przy konfekcji innego typu. Mianowicie nadajemy fason przez prasowanie. Tak więc przedewszystkiem naciągamy zwilżone brzegi pleców w miejscach naznaczonych na ryc. 1 trójkącikami. Następnie zaprasowujemy boczek przodu na piersiach, jak to naznaczone linją kreskowaną na ryc. 2. W ten sposób zyskujemy to, że plecy wpadają, wzgl. że tworzy się wypukłość na piersiach. Podobnie naciągamy, prasując, kołnierz w miejscach naznaczonych na ryc. 8, t. j. na środku brzegu dolnego oraz po obu bokach brzegu górnego. Szczególnie brzeg dolny, spoczywający później na karku, powinien być silnie wyciągnięty, co gwarantuje przystawanie kołnierza.

Po zszyciu przodów przystępujemy do wykonania kieszeni. Na linji wcięcia przyfastrygowujemy u góry podszewkę, u dołu zaś patkę, prawą stroną do prawej (ryc. 3). Patkę podszywamy następnie po lewej stronie (ryc. 4) i zeszywamy szwy kieszeni.

Przody dajemy na płótno, które nie musi być sztywne, chyba że materjał jest bardzo gruby, albo wiotki. Dla umocnienia brzegu, żeby nie wyciągał się przy szyciu, przyszywamy tasiemkę ściegami przed igłę, nie przechodzącemi nawskróś materjału (ryc. 6); drugi brzeg tasiemki należy przyszyć ściegiem krzyżowym do płótna, którego brzeg nie sięga brzegu materjału. Płótno przypikowujemy do materjału przy pomocy ściegów nie przechodzących nawskróś (ryc. 5 i 6). Następnie przyszywamy wyłogi, kładąc je prawą stroną na prawą (ryc. 7); po przyszyciu wywracamy je. Dolny brzeg zakładamy i lekko przyszywamy (ryc. 7). Teraz możemy już zeszyć wszystkie szwy.

Kołnierz wyprasowany jak opisano powyżej, t. j. spód jego, skrojony wukos, dajemy na płótno również ukośne i pikujemy jak widać na ryc. 9. Tak przygotowany kołnierz przyszywamy — spróbowawszy poprzednio — do żakietu (ryc. 10), poczem pokrywamy go częścią wierzchnią, skrojoną prosto ale również wyprasowaną jak spód. W miejscu, w którem styka się wyłóg z kołnierzem, zszywamy te części ściegiem krytym (ryc. 11). Zewnętrzny brzeg wierzchniego kołnierza zakładamy nazewnątrz i przyszywamy ściegiem krzyżowym (ryc. 12). Wewnątrz przyszywamy brzeg kołnierza do szwu.

Rękawy wykończamy przed wszyciem razem z podszewką. U dołu rękawa wykończamy rozporek jak przy męskiej marynarce. Podszewkę przyszywamy ściegiem krytym albo krzyżowym, jeśli jest szorstka, albo niepodatna, jak niejeden gatunek sztucznego jedwabiu.

Bardzo ważne jest umiejętne wyprasowanie przy pomocy odpowiednich poduszeczek, jak uczyliśmy dawniej w kursie krawiectwa oraz w VI Almanachu.

Z. KULCZYCKA

Brakującą w tym numerze tablicę, zawierającą wzory robót ręcznych, zmuszeni jesteśmy dołączyć — ze względów technicznych — do zeszytu z dnia 15. października, tak że Numer 20 „Świata Kob." będzie zawierał dwie tablice.
Administracja

ZWIĄZEK PAŃ DOMU WE LWOWIE

Już od dłuższego czasu gospodarstwo domowe staje się pierwszorzędnem zagadnieniem ekonomicznem, które zajmuje nietylko umysły pań domu, walczących z coraz to większemi trudnościami w zrównoważeniu budżetów i zorganizowaniu prac domowych, ale zaczyna budzić poważne zainteresowanie czynników państwowych. Za granicą jeszcze przed wojną powstały związki, których celem jest niesienie kobiecie pomocy i ułatwień w walce z potrzebami codziennego życia. Niemki w Austrji zrzeszone mają za sobą wiele lat pracy organizacyjnej; z działalnością ich czytelniczki zapoznały się w artykule p. Ankiewiczowej w roku zeszłym. W samym Berlinie Związek Pań Domu liczy ponad 15 tysięcy członkiń; Szwedki, Dunki, Czeszki, nie mówiąc już o Angielkach i Amerykankach, tak przodujących w normalizacji pracy, w wielkich zastępach należą do związków kobiecych o jednolitej organizacji. W każdym z tych krajów cieszą się one wielką popularnością, oraz moralnem i materjalnem poparciem najlepszych sfer społeczeństwa.

U nas powstały w ostatnich latach takie organizacje, jak Instytut Gospodarstwa Domowego w Warszawie, zadaniem którego jest ujęcie zagadnień gospodarstwa domowego z punktu widzenia badań naukowych, racjonalizacja, normalizacja i cechowanie wypróbowanych przyrządów i urządzeń domowych. W ścisłej łączności z Instytutem, ale niezależnie od niego pracuje przeważnie także w Warszawie, Koło Studjów Gospodarstwa Domowego; organizuje dla swoich członkiń różne kursy gospodarskie, prowadzi poradnię dla pań domu i posiada wzorownię sprzętów kuchennych. Oprócz tych zrzeszeń powstają w Warszawie i w innych miastach naszego kraju liczne ośrodki pracy pod rozmaitemi nazwami: kół, związków i t. d., gmatwając sprawę w opinji niewyrobionego ogółu kobiecego i utrudniając wciągnięcie do szeregu wszystkich bez wyjątku kobiet, zajmujących się gospodarstwem domowem. Należało zatem stworzyć jedno zrzeszenie pań domu o jednolitej i zwartej organizacji dla całego kraju. Myśl ta zdecydowała o zwołaniu Zjazdu Pań Domu w Warszawie, w którym wzięłyby udział wszystkie stowarzyszenia gospodarstwa domowego w kraju, także wszystkie osoby interesujące się temi kwestjami, w celu porozumienia się i ustalenia wspólnych wytycznych tego przyszłego zrzeszenia.

Inicjatywę zjazdu podjęło zarówno Koło Studjów Gospodarstwa Domowego, jak i Rada Naczelna Gospodarczego Wykształcenia Kobiet, Sekcja Gospodarstwa Domowego przy Instytucie Naukowej Organizacji, oraz redakcja miesięcznika „Organizacja Gospodarstwa Domowego“, który od czerwca 1930 roku otworzył łamy swego pisma dla spraw Zjazdu. Z tego głównie czasopisma, jak również ze specjalnego sprawozdania ze „Zjazdu Pań Domu w Warszawie“ czerpiemy informacje. Gdyby któraś z Czytelniczek chciała poznać więcej szczegółów, niech przejrzy wspomniane wydawnictwa a także nr 22 „Świata Kobiecego“ z roku zeszłego.

Prace Komitetu Organizacyjnego Zjazdu zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem. W październiku 1930 roku około 750 uczestniczek z różnych stron kraju wzięło udział w trzydniowych obradach Zjazdu. Zjechały się one nietylko w chęci wysłuchania referatów, ale dla wspólnej pracy i wysiłków, co — jak zaznacza p. Szumlakowska w nrze listopadowym „Organizacji Gospodarstwa Domowego“ — zdecydowało o całym nastroju i wartości Zjazdu. Wszystkie uczestniczki zrozumiały, i stale to podkreślały, że najważniejszem ich zadaniem jest praca dla dobra rodziny i że na tym terenie zawsze się będą mogły porozumieć. To wzajemne zrozumienie wywołało serdeczną atmosferę umożliwiającą współpracę pomiędzy przedstawicielkami najróżnorodniejszych ugrupowań. Drugą korzyścią było podniesienie godności „pani domu“ i wartości prac domowych na wyższy poziom niż dotychczas. Kobiety zrozumiały doniosłość roli i odpowiedzialności, jako kierowniczek swych domów.

Zjazd spełnił swoje zadanie, powołując do życia odrębną, jednolitą organizację fachową, t. j. „Związek Pań Domu“, która powinna objąć około 5 miljonów kobiet pracujących w Polsce jako kierowniczki swoich gospodarstw. W dalszym ciągu Zjazd wybrał Komisję Organizacyjną dla opracowania statutu przyszłego zrzeszenia i ustalił zasadnicze wytyczne dla zakładania Oddziałów lokalnych i pracy w nich. Wybraną Komisję uznano do czasu uchwalenia statutu za centralę o charakterze organizacyjnym, informacyjnym i doradczym. Do Komisji weszły oprócz Warszawy przedstawicielki z różnych zakątków Rzeczypospolitej, by, mając formalny już kontakt z Komisją Matką, móc w myśl uchwały Zjazdu łatwiej organizować pracę w Oddziałach miejscowych.

Delegatką ze Lwowa była na Zjeździe przewodnicząca Tow. Gosp. Wykszt. Kobiet we Lwowie p. Garapichowa. Ona to właśnie, dobrawszy sobie grono chętnych do pracy pań, po ukonstytuowaniu się jako Komitet Organizacyjny Związku Pań Domu, z p. Kazimierzową Bartlową jako przewodniczącą na czele, zorganizowała pierwsze ogólne zebranie Pań Domu we Lwowie. Na zebraniu tem, na którem były reprezentowane bardzo licznie wszystkie niemal polskie, chrześcijańskie stowarzyszenia kobiece we Lwowe, zawiązano jednomyślnie dnia 20 marca 1931 r. „Związek Pań Domu, Oddział we Lwowie“.

Przystępując do sprawozdania z naszej dotychczasowej działalności, zaznaczamy, że Związek nasz, posiadający własny lokal przy ul. Zimorowicza 9 III p., liczy około 120 członkiń.

Oprócz wielu posiedzeń Zarządu w sprawach wewnętrznych Związku, urządziłyśmy cztery zebrania ogólne. Na każdem z nich oprócz komunikatów o sprawach bieżących i projektów na przyszłość, był wygłoszony odczyt z pokazem. A więc przed wyjazdem na letniska były dwa odczyty w kwestjach bardzo aktualnych: jeden „O czyszczeniu plam i odświeżaniu garderoby“, drugi „O porządkach w domu od strychu do piwnic przed wyjazdem na lato“, a także „O zaopatrzeniu garderoby, mebli i dywanów od moli, much i t. p.“ Na tem miejscu musimy wyrazić podziękowanie Zarządowi Szkoły Gospodarskiej na Snopkowie, która zawsze służy nam radą i pomocą, dostarczając prelegentek i kierowniczek kursów ze swego grona nauczycielskiego lub z pośród kończących zakład uczennic, jak w dwuch ostatnich wypadkach.

Trzeci odczyt informował „O urządzeniu wnętrz“, zastosowanych do teraźniejszych potrzeb kulturalnych i estetycznych. Prelegentka pokazała sporo pięknych ilustracyj i projektów, dała też dużo wskazówek, jak tanim kosztem zdobyć gustowne urządzenie, a starym zniszczonym sprzętom przywrócić ich dawny wygląd.

Wreszcie miałyśmy pokaz oszczędnego gotowania na gazie, urządzony dla „Związku“ przez Gazownię Miejską, za co serdecznie dziękujemy Zarządowi Gazowni, a w szczególności panom dyrektorom: Żardeckiemu i Piwońskiemu, którzy uznając jak dodatni wpływ może mieć nasz „Związek“ na rozwój gospodarczy miasta, idą nam zawsze na rękę i służą pomocą. Ich uprzejmości zawdzięczamy możność urządzania naszych zebrań z odczytami w pięknej sali pokazowej Gazowni. Z równą uprzejmością udzielił nam kilkakrotnie sali pan dr Kazimierz Ciesielski, Rektor Akademji Eksportowej.

ST. NEYMANOWA

POKÓJ DZIECIĘCY *

POKÓJ dziecka jest dla niego miejscem zabawy, pracy i odpoczynku. Dziecko jest bowiem skazane na przebywanie prawie wyłączne w obrębie jego czterech ścian i to w stopniu tym większym, im jest ono młodsze i zwykle — choć to brzmi paradoksalnie — im rodzina jego jest zamożniejsza, a mieszkanie większe. Trudno zatem wyobrazić sobie godniejszy przedmiot starań dla pełnych energji, wyobraźni i postępowości młodych matek, aniżeli pokój, w którym upływa tak znaczny w czasie i znaczeniu okres życia ich dzieci.

Przed przystąpieniem do tworzenia lub przetwarzania pokoju dziecięcego musimy uprzytomnić sobie nasz cel. Jest nim dobre duchowe i fizyczne samopoczucie dziecka. Jaki powinien być pokój dziecka, by temu celowi odpowiadał?

1. Obszerny. Tak uzasadniona i racjonalna obecna dążność do zmniejszania pomieszczeń mieszkalnych nie powinna obejmować pokoju dziecięcego, zwłaszcza miejskiego. W przeciwieństwie do dorosłych dzieci spędzają bowiem, jak już wyżej wspomniałam, znaczną część doby w swym pokoju, i to najczęściej w towarzystwie rodzeństwa i opiekunki. Pokój ten musi dziecku dawać możność nieskrępowanej i niezależnej od towarzyszy zabawy i zajęcia, ochrony jego budowli, zagród, konstrukcji i t. p. Zgoda między dziećmi panuje jedynie wtedy, gdy „każde sobie rzepkę skrobie". Wiedzą o tem wszyscy, którzy mają z dziećmi do czynienia. Dzieci bawią się obok siebie, wyjątkowo tylko ze sobą.

Poza tem potrzebny jest dziecku swobodny ruch, w nierównie większym stopniu, niż człowiekowi dorosłemu. Ruch jest koniecznością życiową dziecka. Dlatego należy uważać za nieodpowiedni pokój dziecięcy, w którym dzieci nie mają możności biegania, wożenia się, jeżdżenia na drezynie, gimnastykowania się i t. p. To znów odnosi się w znacznej mierze do pokoju dzieci miejskich. Należy temu zaradzić przez zmianę pokoju na większy, przez zezwolenie dzieciom na bawienie się poza swoim pokojem lub też przez udzielenie dzieciom drugiego pokoju. To ostatnie jest wogóle niezmiernie wskazane, gdy dzieci jest kilkoro, gdy są one w różnym wieku, by każde z nich miało zapewnionych kilka godzin spokoju dla nauki, czy odpoczynku.

2. Słoneczny, w każdym razie widny. To nie wymaga obszernego uzasadnienia. Słońce jest źródłem i warunkiem wszelkiego życia. Zatem duże okna zwrócone na wschód lub zachód. Południe jest w lecie zbyt gorące. Okna, zwłaszcza w mieście, oszklone szkłem kwarcowem, przepuszczającem promienie pozafiołkowe, które tak dodatnio wpływają na zapobieganie krzywicy oraz na cały ustrój dziecka. Koszta nie są tak wygórowane, by nie opłacały korzyści, zwłaszcza że wystarcza oszklenie okien zewnętrznych. Należy wtedy oczywiście pozostawiać okna wewnętrzne możliwie często otwarte, a gdy temperatura na dworze osiągnie kilka stopni ponad zero, usunąć je całkowicie.

Poza tem ważne jest, by dzieci miały dostateczną ilość, a zwłaszcza dostateczne nasilenie światła sztucznego. Umiejętne rozmieszczenie światła, a więc lampy przesuwalne, spuszczane, małe lampki przenośne, które dzieci mogą ustawiać w miejscu, w którem się w danej chwili bawią, choćby na podłodze, dają ten sam, a nawet lepszy wynik, przy mniejszem zużyciu prądu, co silne nieruchome jedyne źródło światła dla całego pokoju.

3. Suchy. — Zob. mój artykuł w „Organizacji Gospodarstwa Domowego" p. t.: „Dzieci w zimie", nr 1, 1931.

4. Temperatura pokoju dziecięcego była też omówiona w powyższym artykule.

5. Powietrze w pokoju dzieci powinno być stale świeże. Pod żadnym względem, jeśli chodzi o pokój dziecinny, nie jesteśmy tak dalecy od doskonałości, jak pod tym właśnie. W 95% domów kulturalnych przy wejściu do pokoju dziecięcego uczuwa się mniej lub więcej przykry zapach, powodowany nagromadzeniem się w powietrzu różnych gazów, wydzielanych z oddechem i przez skórę osób obecnych. Gazy te, same przez się mniej szkodliwe niż nieprzyjemne, są jednak wyrazem niedostatecznej zmiany powietrza i, co za tem idzie, niedostatecznego dopływu tlenu. Przebywanie w takiem powietrzu odbija się bardzo ujemnie na sprawności, a zatem i na odporności organizmu dziecka. Najlżejszy choćby cień zapachu powinniśmy uważać za znak ostrzegawczy, na który należy natychmiast zareagować, gdyż po pewnym czasie przestaje on nas razić. Powinniśmy wchodzić do pokoju dziecięcego niejako węsząc. Przyznaję, iż najczęściej trzymamy dzieci w powietrzu zużytem i niezdrowem nie przez niedbalstwo, lecz naskutek nadmiaru troskliwości o nie, głównie zaś z obawy przed przeziębieniem, tym straszakiem wszystkich matek. I tutaj znowu, jak w tylu innych okolicznościach, zamiast zapobiec niebezpieczeństwu, zwiększamy je, zamiast hartować i uodporniać organizm, wydelikacamy go i stwarzamy warunki sprzyjające wszelkim niedomaganiom. Tworzy się jedno z niezliczonych błędnych kół. Doprawdy, iż powstaniu powiedzenia „matczyna przysługa", jako synonimu niedźwiedziej przysługi, trudno byłoby odmówić dużego uzasadnienia. Jak doprowadzić do tego, by powietrze pokoju dziecięcego było stale świeże i niezużyte? Przedewszystkiem przez wietrzenie, i to nie dwa, trzy razy dziennie, lecz stale, gdy temperatura jest powyżej zera i gdy niema zbyt silnego wiatru, oraz od połowy do jednej czwartej czasu — w mrozy. Twierdzenie, że dziecko zaziębia się naskutek wietrzenia i że mu świeże powietrze szkodzi, uważam za analogiczne i należące do tej samej kategorji prawd życiowych, co twierdzenie, że dziecko jedzenia (poza jakąś upatrzoną kaszą lub kleikiem) nie znosi. Nie powietrze i nie wszechstronne żywienie dziecku szkodzi, lecz nieudolność w dostarczaniu ich dzieciom, fakt, iż odzwyczajamy dzieci od normalnego korzystania z nich i pobierania ich. Jak należy uskuteczniać wietrzenie? W lecie zagadnienie to nie nastręcza żadnych trudności. W zimie natomiast musimy dążyć do tego, by dzieci nie stykały się bezpośrednio z prądem zimnego powietrza. Osiągamy to przez otwieranie nawet w czasie zimy górnych oświetli (oberluftów) lub rozsuwanych czy też opuszczanych szybek w górnej części okien. Z nadejściem wiosny należy stopniowo przechodzić do coraz dłuższego otwierania całych okien. Ideałem jest stale otwarte okno. Noc, naskutek braku hałasu, kurzu oraz możności uniknięcia przeciągów, nadaje się ku temu najlepiej. Małe pokoje można wietrzyć, otwierając okno w pokoju sąsiednim. Oczywistą jest rzeczą, że pomimo wietrzenia temperatura powinna być utrzymana na odpowiedniej wysokości.

6. Łatwy do utrzymania w czystości. Dzieci bowiem nietylko mogą lecz powinny móc bawić się, kłaść się, siadać na podłodze, chodzić na czworakach, włazić pod kanapy i łóżka. Jeżeli się przy tem zabrudzą, nie one, lecz my jesteśmy „brzydkimi brudasami". Dlatego pokój dziecinny nie powinien być przechodni. Poza tem powinni domownicy, zwłaszcza w mieście, unikać wchodzenia do dzieci w obuwiu z ulicy. Wprowadzanie gości do pokoju dziecięcego powinno się możliwie ograniczyć. Na Wschodzie przestąpienie progu domu w obuwiu jest uważane za profanację. My, kulturalni ludzie Zachodu, chodzimy natomiast po podłodze, z którą dzieci są w ciągłej styczności, w butach, które dotykały bezpośrednio wszelkich nieczystości. Dzieci powinny zaraz po spacerze lub powrocie ze szkoły zmieniać buty na pantofelki pokojowe. Dla ułatwienia przestrzegania tego wskazane jest ustawienie w przedpokoju specjalnej ławki do zmieniania obuwia; ławka taka powinna mieć pomieszczenie na obuwie domowe (np. szuflada lub półka pod siedzeniem).

Malowanie olejno ścian do wysokości 1,20 m i pociągnięcie ich lakierem ułatwia znacznie utrzymanie ich w czystości i okazuje się na dalszą metę oszczędne. Podłoga lakierowana jest bezwzględnie najpraktyczniejsza i najtańsza, a może pod względem estetycznym nie ustępować ani linoleum, ani posadzce. Meble nieliczne, gładkie, lakierowane. Zasłony tylko niezbędne, i te lepiej nakładać jedynie na czas spania. Istnieją na to bardzo praktyczne sposoby.

7. Atmosfera. Teraz przychodzimy do dziedziny bardziej może nieuchwytnej, lecz niemniej ważnej od poprzednich. Jest nią atmosfera pokoju dziecięcego. Tutaj znowu musimy sobie uprzytomnić, jaka powinna być najbardziej znamienna jej cecha. Otóż według mnie jest nią niezawodnie swoboda. Swoboda w najszerszem znaczeniu, obejmującem nieskrępowanie, pogodę i spokój. Jakież są sposoby, natury materjalnej, bo o tych jedynie mogę tutaj mówić, zapomocą których osiągniemy nasz cel?

Przedewszystkiem światło.

Przestrzeń. Wynikająca nietylko z istotnej wielkości pokoju, lecz i z umiejętnego ustawienia mebli, gry świateł, a zwłaszcza nieprzeładowania. W pokoju dziecięcym powinny się znajdować jedynie przedmioty dzieciom potrzebne, i to potrzebne w danym okresie czasu, wieku, pory roku. Żadnych rzeczy zbędnych, ani takich, na które niema miejsca w mieszkaniu, i które dlatego odstawiono do pokoju dzieci.

Ład. Wynikający z nieprzeładowania i z rozumnego uwzględnienia wszystkich potrzeb dzieci. Nie mogę zatrzymać się dłużej nad sprawą urządzenia pokoju dziecięcego. Nadmienię tylko jego cechy charakterystyczne. Są niemi celowość, prostota, solidność.

Unikanie jaskrawych i agresywnych wzorów, figurek, gracików, obrazków, najczęściej niedostatecznie dostosowanych do psychiki dziecka, których stały widok tylko nuży je podświadomie. Obrazki i miłe przedmioty lepiej pokazywać dzieciom luźno. Wtedy można je dostosować do wieku, zainteresowań danej chwili i danego dziecka. Dzieci natomiast powinny móc wieszać, każde w swoim kąciku, na swojej ścianie lub przy swojem łóżku obrazki, wycinanki, rysunki, które im się podobają, które same zrobiły. Nie zapominajmy o tem, że dzieci powinny się czuć w swoim pokoju prawdziwie u siebie.

Harmonja barw. Jest to dziedzina dziś już bajecznie wyzyskiwana w zastosowaniu do wnętrz. Podam parę projektów pokoi dla dzieci, o których wiem, że są śliczne. Sufit i ściany białe, podłoga pastelowo niebieska, lampa mlecznobiała, czerwone (koloru maku) grube zasłony okien. Lub też: ściany i sufit piaskowe z lekkim odcieniem różowym, podłoga koloru naturalnego sosny, lakierowana przezroczystym lakierem, meble żółte, koloru zboża, taki sam drążek do zasłony, zasłona okna z grubego płótna ciemno lawendowego koloru, pokrycia łóżek różowe. Fotel dla dorosłej osoby żywo zielony, lampa, ramy okien oraz drzwi zupełnie białe.

Dok. art. na str. 432

* Przedruk z czasopisma: „Organizacja Gospodarstwa Domowego", nr. 8—9, 1931 r.

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

Z DYNI I ARBUZA można przyrządzić różne smaczne kompoty i konserwy. Kupując, trzeba je opukiwać, żeby przy pomocy dźwięku, jaki wydają, sprawdzić, czy są pełne, czy puste, gdyż puste nie nadają się do konserwowania. W przeciwieństwie do innych owoców, dyni i arbuza nie należy cienko obierać, tylko dość grubo. Pestkowie wybiera się łyżeczką. Miąższ można pokrajać w paski, kostki lub kulki. Smak dyni i arbuza jest mdły, dlatego dodajemy różne korzenie, oraz ocet, albo sok cytrynowy. Wanilja również nadaje się do dodania zapachu. Korzenie dodaje się w całości, niemielone, skórkę cytrynową pokrajaną w dość szerokie paski. Nie używamy octu z esencji ani spirytusu, tylko najlepszego owocowego.

DYNIA W OCCIE. Kilogram pokrajanej dyni sparzyć i osączyć, następnie zalać ½ l octu z ¼ l wody i odstawić na 2—3 dni. Po tym czasie odlać ocet i dodać 1 kg cukru, gdy się rozpuści i zakipi, włożyć dynię pokrajaną, oraz po 15 ziarnek pieprzu i goździków, skórkę z 1 cytryny i laseczkę wanilji. Smażyć przez 15 minut, następnie odstawić na 3 dni. Potem odlać syrup, zagotować, wrzucić kawałki dyni i smażyć, aż staną się szkliste. Włożyć gorące do kamiennego garnka, zawiązać i przechować w chłodnem miejscu.

DYNIA Z IMBIEREM. Przygotować dynię jak zwykle i zalać rozcieńczonym octem; na 1 kg ¼ l octu i ½ l wody. Następnego dnia wyjąć i osączyć. Namoczyć imbieru 5 dkg na 1 kg dyni, gotować przez 10 minut, oczyścić i pokrajać, następnie dodać do odlanego octu i gotować przez 3 minuty z 75 dkg cukru, skórką z cytryny i nakoniec włożyć kawałki dyni. Smażyć, aż staną się szkliste. Przed włożeniem do kamiennego słoja wyjąć imbier. — Można do gotowania także dodać goździków.

SUROWY KOMPOT Z DYNI ALBO ARBUZA. Oczyścić owoc jak zwykle i pokrajać w małe, cieniutkie plasterki. Rozłożyć na półmisku, posypać miałkim cukrem i pokropić sokiem cytrynowym. Po kilku godzinach dobre do spożycia. Smak można poprawić winem albo łyżeczką rumu.

UPIECZONY BUDYŃ Z BARANICH KOTLETÓW. Ugotować ½ kg kartofli i pokrajać w plasterki. Wykroić ½ kg cienkich kotletów z baraniny, posolić i usmażyć na maśle, następnie wyjąć, a na tem samem maśle zrobić zaprażkę i rozprowadzić rosołem. Dodać 2 łyżeczki curry albo papryki, soli i ½ łyżeczki musztardy; w ten sos włożyć kotlety, następnie wyłożyć wysmarowaną formę plasterkami kartofli, na to mięso z sosem i znowu kartofle i tak warstwami napełnić formę do ¾. Na wierzch nalać ¼ l śmietany rozkłóconej z 2 jajami i szczyptą soli, pokropić masłem i upiec w rurze.

BARANINA Z FASOLKĄ. Zrumienić ½ kg baraniny, podlać wodą i gotować przez 1½ godziny. Następnie dodać 1 kg oczyszczonej i łamanej zielonej fasolki i razem gotować, aż zmięknie. Następnie popudrować mąką, zaprawić śmietaną i dosolić do smaku. Podać z przysmażonemi kartoflami.



KONSERWA Z POMIDORÓW Z SOKIEM CYTRYNOWYM. Dojrzałe pomidory nakłóć drewienkiem, ułożyć w misce i zalać syropem z cukru, na 1 kg pomidorów ¾ kg cukru. Następnego dnia odlać syrop, dodać do niego sok z 5 cytryn, zagotować i gorącym zalać pomidory w misce. Po dobie odlać syrop znowu, zagotować i zeszumować, pomidory zaś ułożyć w słoikach. Gdy syrop przestygnie, zalać nim pomidorv następnie zawiązać. Dłużej trzymają się, jeśli zalać po wierzchu parafiną, warstwą centymetrową.



OSTRY SOS POMIDOROWY W KONSERWIE. Ugotować 2 kg dojrzałych pomidorów z ¼ kg cebuli i przetrzeć przez sito. Dodać $^3/_8$ l octu winnego i ¼ l wody, 2 łyżki soli, tyleż cukru, 5 listków bobkowych, tyleż goździków i 6 ziarnek pieprzu angielskiego. Gotować przez 15 minut, następnie wlać do małych butelek i zakorkować.

INNY SOS POMIDOROWY. Na 1 kg pomidorów oczyścić i pokrajać ¼ kg selera, gotować razem z pomidorami i przetrzeć. Do masy dodać ¼ l dobrego octu winnego, szczyptę imbieru, gałki muszkatułowej, zmielonego pieprzu, papryki oraz odrobinę cukru. Sos ten powinien być dość gęsty i ostry, ilość dodanych korzeni zależy od smaku. Włożyć do małych słoiczków lub flaszeczek o dość szerokiej szyjce, zalać oliwą na 1 cm wysokości i zakorkować. Używa się zamiast musztardy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

PENSJONAT. — Owszem, w Polsce istnieją takie szkoły. Oto adresy: Państwowa Szkoła Hotelarsko-Przemysłowa, Zakopane, 1) Szkoła Hotelarsko-Restauracyjna, czas trwania nauki 3 lata. Cel nauczania: przygotowanie zarządczyń hoteli, pensjonatów itp. instytucyj o charakterze przedsiębiorstw dochodowych. 2) Szkoła służby hotelowej i restauracyjnej, czas trwania nauki 1 rok.

LWOWIANKA. — Wymienione przez Panią przedmioty dadzą się oczyścić i zupełnie odświeżyć. Nie wyobrażamy sobie jednak, aby to można wykonać w własnym zarządzie, gdyż potrzebne są tu fachowe wiadomości. Podajemy Pani zatem adres firmy, która zajmuje się czyszczeniem rzeczy ze skóry, mebli klubowych, kurtek, waliz, siedzeń automobilowych i motocyklowych, oraz mebli drewnianych: „Pedant", Lwów, Zimorowicza 10, tel. 49-71. Polecamy tę firmę na podstawie osobistego doświadczenia i możemy Panią zapewnić, że przedmioty wracają do pierwotnego wyglądu.

LWOWIANKA. — Zwracamy uwagę Pani na ogłoszenie, umieszczone na 2 stronie okładki, znanej ze solidności firmy, istniejącej od 10 lat, która może zadowolić najwybredniejsze wymagania klientek tak pod względem doboru materjałów jak niezwykle uprzejmej, fachowej obsługi. Na składzie stale najmodniejsze damskie materjały w wielkim wyborze, wełny, jedwabie, płótna, szyfony, flanele, barchany i t. d. Piękne wełny na kostjumy i płaszcze zimowe. Lokal urządzony wytwornie, towar pierwszej jakości, ceny konkurencyjnie niskie. — Adres: Hurtownia Tekstylna, właśc. Jan Kanty Pfau, Lwów, Rynek 30 (tuż obok Baczewskiego).

PANI CHRZ. — Jedwab surowy pierze się najlepiej w letniej wodzie, w której rozpuszczone zostały płatki mydlane. Płókać w letniej wodzie, zmieniając ją często. Do ostatniego płókania dodać octu, kwaterkę na 5 l wody. Rozwiesić bez wyżymania i prasować wilgotny. Ocet nadaje połysk i sztywność. Jeśli jedwab jest starannie płókany, nie będzie plam przy prasowaniu. Natomiast nigdy nie można czyścić poszczególnych plam wodą, tylko trzeba raczej wyprać całą część odzieży, gdyż z wody zaciekają plamy, ponieważ nowy jedwab ma apreturę. Surowy jedwab można prasować z lewej strony tak samo jak z prawej. — Markizetę białą pierze się jak bieliznę. Należy krochmalić ją rzadkim krochmalem,

Tylko to nieuchwytne coś — ta oznaka szczególnej pielęgnacji — przynosi Pani powodzenie. Powinna Pani dbać o swą twarz, cerę — lecz przedewszystkiem — pielęgnować swe włosy. Lśniący ich połysk i wonna świeżość nadają Pani właśnie ten urok, który działa. Każda torebka szamponu **Czarnogłówka-Extra** zawiera nowy preparat: proszek **„Połysk dla włosów"**, który obdarzy włosy Pani zdrowiem, świeżością i lśniącym połyskiem.

PORADNIK DLA CHORYCH I ZDROWYCH.

Pan F. w W.

Pytanie: Każda zmiana pogody (zwłaszcza obecnie, w jesieni) zawsze wywołuje u mnie zaziębienie, przeważnie katar, co mi utrudnia w znacznym stopniu pracę zawodową i życie towarzyskie. W jaki sposób mógłbym możliwie najprędzej pozbyć się tej przykrej skłonności do zaziębień?

Odpowiedź: Przedewszystkiem należy się ubierać odpowiednio do pogody i unikać przeciągów. Następnie radzimy zażywać 2—3 oryginalnych tabletek Aspiryny dziennie, gdyż działają one w sposób niezawodny przy wszystkich zaziębieniach. Oryginalna Aspiryna jest do nabycia we wszystkich aptekach.

żeby nie stała się mętna. Jeśli pożółknie, można ją wybielić gotując ją w wodzie z dodatkiem wody utlenionej 30%, biorąc na 10 l wody 25 gramów wody utlenionej. Gotować przez 15 minut i pozostawić w tej wodzie przez noc. Następnego dnia wypłókać. Markizetę można farbować jak każdą inną tkaninę, ale wszystkie rzeczy w domu farbowane płowieją szybko. Firanki można pięknie na kremowo zafarbować w odwarze z kwiatu lipowego. Wzorzystę markizety pierze się w letniej wodzie i łagodnem mydłem, np. marsylskiem lub barskiem, nie trąc, tylko dusząc i wyciskając, gdyż farba nadrukowana spiera się przy tarciu. Do ostatniego płókania dodać octu. Jasne markizety można krochmalić zwykłym krochmalem, ciemne zaś żelatyną, biorąc 1 listek na pół litra wody.

Zbiorowa odpowiedź dla pań: A. M. — CEL. DZ. — WANDY K. — Skórki baranka perskiego można łatwo wyczyścić, jeśli są poprute. Kuśnierze czyszczą zanurzając je w benzynie i wycierając miękkiem płótnem. Jest to jednak niebezpieczny zabieg z powodu palności benzyny. Można więc wycierać skórki płatkiem zwilżonym benzyną, albo sposobem suchym. Do tego używa się delikatnych trocin mahoniowych albo cedrowych, które można dostać u kuśnierzy. Zamiast tego można także użyć ogrzanej nieco mąki, ale później długo trzeba wyczesywać i wytrzepywać. Zamiast mąki lepiej użyć otrębów, które łatwiej usunąć z czarnego futra, przytem dodają one połysku.

POKÓJ DZIECIĘCY

Dok. art. ze str. 429

Tym, którzy twierdzą, że dzieciom jest dobrze i że dobrze się chowają, a zwłaszcza „dobrze się wychowały" i w pokojach, nie odpowiadających powyższym wymaganiom, nie przeczę. Nie chcę narażać się na prawie nieuniknioną porażkę. Cóż bowiem będą znaczyły me słowa wobec przedstawionych przez moich przeciwników dowodów w postaci zdrowych dzieci i jeszcze bardziej druzgocących wspomnień dzieci z czasów naszych przodków, którym podobnych dziś się wogóle nie widuje.

Powyższe wskazówki zebrałam w nadziei, że mogą być pomocne dla tych matek, które czują i myślą podobnie jak ja: mianowicie, że okres, w którym szczęście naszych dzieci zależy prawie wyłącznie od nas, jest niezmiernie krótki i że należy go wykorzystać i stworzyć naszym małym dzieciom pokój dziecinny, na wspomnienie którego nasze duże dzieci będą musiały się uśmiechać. Później będą one miały swoje domy. Nie wiadomo wcale, jakie będą dla nich te domy i nie w naszej mocy będzie je rozjaśnić. A może będą to tylko samotne pokoje? Będą biura, poczekalnie, sale sądowe, szpitalne. Niechaj będzie w ich życiu i pokój dziecinny.

JANINA JONSCHEROWA

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34